Nr. 26. Warszawa, dnia 25 (13) Czerwca 1892 r. **Rok XII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin odnowienia przedpłaty.

POLITYKA.

ZAMKNIĘTA EPOKA.

Dla ludzi, którzy pośrednio lub bezpośrednio znają charakter Wilhelma II — niepodległy, zazdrosny o swe prawa, nie tyle może w istocie swej samodzielny, ile pragnący się takim wydawać — dla ludzi, którzy również znają charakter Bismarka — pogłoski o mniemanem pojednaniu się cesarza z poprzednim kanclerzem są tak dziecinną bajką polityczną, że trudno byłoby w tym rodzaju wymyślić naiwniejszą. Monarcha niemiecki, który przedewszystkiem chce sam rządzić, który w tej chęci często nawet przekracza granice, zakreślone mu konstytucyą, miałby dobrowolnie postawić obok siebie, przy sterze państwa, człowieka, który przewyższa go tem łaknieniem, który wkrótce zasłoniłby go swym cieniem jeszcze bardziej, niż jego dziada; monarcha ten — mówimy — posiadający wysokie wyobrażenie o swojem dostojeństwie i roli, miałby zapomnieć o tych wszystkich ostrych, gorzkich i szyderczych wyrazach, które usłyszał z ust swego sługi podczas rozstania, a potem ze szpalt jego dziennika i doniesień poufnych! Podobnej myśli uczepić się może tylko ten, kto śni na jawie. A jednakże kaczka ta ciągle oblatuje dzienniki. Sztab ubezwładnionego tytana we Friedrichsruhe, chociaż doskonale rozumie jej nicość, nie obcina jej skrzydeł, gdyż ona dogadza słabostce człowieka, który ze wszystkiem oswoić się może, ale nigdy z zapomnieniem. Ten, który przez tyle lat nie schodził z ust całego świata, woli, ażeby o nim mówiono cokolwiek, aniżeli milczano.

Ale w czyjej głowie wylęgła się ta kaczka, a przynajmniej spoczęło jajko, z którego ona wyszła? Gniazda szukać trzeba śród konserwatystów, którzy straciwszy swego hetmana, stracili wszystko: rozum, siłę, powagę, a nadewszystko wiarę w przyszłość. Kiedy odszedł, poczuli oni strach ludu izraelskiego i wołali, jak on w znanym poemacie: „Gdzie nasz wódz? Stary lew! A któż nas powiedzie? Mojżesz znikł! On, co zwykł stawać nam na przedzie!“ Powoli wszakże, mając do wyboru między tronem a wodzem, stanęli przy tronie. Tylko energiczniejsze jednostki nie porzuciły zamiaru pojednania zwaśnionych. W tych usiłowaniach odznaczył się szczególnie bogaty i lubiany przez monarchę przemysłowiec nadreński Stumm. On i jego sojusznicy w tej sprawie, pracując nad zasypaniem przepaści między Wilhelmem II a Bismarkiem, nie są tak naiwni, ażeby przypuszczali możliwość powrotu ex-kanclerza do władzy, ale popełniają inną, niemniejszą naiwność, mniemając, że on bez niej będzie zadowolony i poprzestanie na osobistej przyjaźni z cesarzem. Jest to zabawna ideologia. Bismark tak się zrósł z władzą, tak ona go przeniknęła nawskroś, tak wypełniła całą jego duszę, wyparłszy z niej wszystkie inne sprężyny, że bez tej materyalnej mocy wprost nie umiałby obracać się w otoczeniu monarchy. Stanowisko jakiegoś Hintzpetera, „nieodpowiedzialnego doradcy,“ wcale go nie nęci. A ponieważ jest w polityce naturalistą i nie zna żadnych złudzeń, więc pojmuje doskonale, że zabiegi Stummów są zmarnowanymi trudami.

Mylą się też ci, którzy sądzą, że tłumne i wrzaskliwe owacye, urządzane mu w Dreznie, Berlinie, Wiedniu i podczas całej podróży na ślub syna, uważa on za ruch, który go wyniesie napowrót i pokona opór cesarza. Przemawiając do swych czcicieli na jednej ze stacyj, rzekł: „Jestem przedstawicielem epoki zamkniętej i pragnę tylko, ażeby osiągnięte w niej zdobycze utrwaliły się.“ Jest to rezygnacya, wynikająca z trzeźwej oceny stosunków. Ex-kanclerz doskonale pojmuje, że pomimo całego uwielbienia, jakie mają dla niego ziomkowie, wyżej cenią Hohenzollerna, niż Bismarka. Naród niemiecki jest w większości swojej szczerze monarchiczny, i nawet widząc błędy panującego i wierząc w nieomylną mądrość jego sługi, w każdem starciu oświadczy się za pierwszym, nie za drugim. Tu wszelkie bunty major-domów, konfederacye, zawichrzenia są niemożliwe.

Gdyby armata posiadała świadomość, rozumiałaby, że wtedy tylko jest straszna i spełnia swoje przeznaczenie, gdy w jej lufie tkwi nabój, który każdej chwili podpalony wybuchnie, że natomiast nienabita jest najniewinniejszym w świecie i bezużytecznym statkiem, w którym wróble mogą sobie bezpiecznie słać gniazda. Otóż taką świadomość ma Bismark. Był on wielką armatą polityki niemieckiej, groźną dopóty, dopóki był nabity druzgoczącą władzą. Dziś, gdy chcą go uczynić niewinnym statkiem przed pałacem cesarza i zamienić na schronienie dla wróbli, woli on jako pamiątka „zamkniętej epoki,“ jako historyczne działo pozostać we Friedrichsruhe. Uczuwa on w sobie dumę i przeznaczenie wojennej armaty, któraby chciałaby i umiałaby jeszcze wyrzucać z siebie olbrzymie bomby podczas bitew, ale nie służyć do strzelania samym prochem na salwy dworskie. Z jednej więc strony wola i niewzruszona siła monarchy, z drugiej — ambicya usuniętego kanclerza tworzą między nimi nieprzepartą zaporę. Pierwszy jest przedstawicielem „epoki zamkniętej,“ drugi — „nowego kursu,“ a chociażby ich stanowiska nie były przeciwbiegunowe, pozostaną przeciwległemi. Nie potrzeba wcale ani jasnowidzenia, ani ryzyka wróżbiarskiego, ażeby przepowiedzieć, że Wilhelm II i Bismark nie pojednają się z sobą nigdy. Cokolwiek zaś o zbliżaniu się ich ku tej zgodzie piszą gazety, jest czczą gadaniną, która służy do zatykania dziur w kolumnach dziennikarskich podczas niedostatku świeżych nowin. „Ambasadorowi niemieckiemu polecono baczyć uważnie na zachowa-

nie się Bismarka w Wiedniu" — pierwszy telegram. „Ambasadorowi niemieckiemu polecono wyjechać z Wiednia na czas bytności Bismarka" — drugi telegram. Więc temu, co miał śledzić, kazano wyjechać? Czy potrzeba wymowniejszego dowodu bezmyślnej paplaniny?

WIZERUNKI Z PARLAMENTU AUSTRYACKIEGO.

(LISTY).

I.

Dwanaście rozmaitych narodów o dziesięciu wyznaniach religijnych składa się na zbiór Izby poselskiej parlamentu austryackiego, która też wskutek tej różnorodności wyborców przedstawia o wiele większą ilość typów, aniżeli każde inne ciało przedstawicielskie w Europie. W samej Izbie reprezentowane są następujące narodowości: niemcy, czesi, polacy, rusini, chorwaci, słoweńcy, włosi i rumuni, a pomiędzy tymi znajdujemy wyznawców aż sześciu kultów chrześciańskich i żydowskiego. Wobec tak mozaikowego składu Izby trudno bardzo o pochwycenie w niej jakiegoś ogólniejszego charakteru i jakiejś wybitniejszej cechy; dlatego też chcąc wyrobić sobie zdanie o tej rzekomej reprezentacyi ludów austryackich, trzeba rozważać ją w jednostkach, albo co najmniej rozpocząć od poznania wybitniejszych przedstawicieli poszczególnych grup. Nawet stronnictwa polityczne nie mogą być traktowane jako całość, gdyż jeden np. klub Hohenwarta zgromadził pod mglistym sztandarem przewódcy reprezentantów aż pięciu narodów, a w tak jednolitem napozór Kole polskiem widzimy — od hrabiego Stadnickiego aż do d-ra Lewakowskiego — przedstawicieli całej skali politycznych i społecznych kierunków. Stosowana przez rząd w całej pełni zasada *divide et impera* nie pozwala nawet sądzić posłów według ich w Izbie występów, bo otoczeni całą siecią intryg i knowań, stosują się oni przeważnie nie do swych przekonań, jeno do potrzeby chwili, potrzeby często wręcz z temi przekonaniami sprzecznej. Jedyną miarę do osądzenia uzdolnień i charakteru posłów, znajdujemy — oprócz w pozaparlamentarnej znajomości ich życia i działania, w sprawozdaniach z posiedzeń klubowych, a raczej w wiadomościach o tych posiedzeniach, zdradzanych od czasu do czasu przez niedyskretnych lub intrygujących członków. W parlamencie samym nie osobniki wchodzą w rachubę, jeno kluby, a te mówią i głosują zawsze tak, jak nakazała im większość.

Na podstawie wieloletnich, osobistych i dziennikarskich stosunków z członkami Izby poselskiej, chciałbym — z zastosowaniem powyższej metody — przedstawić czytelnikom *Prawdy* w szeregu krótkich sylwetek najwybitniejsze jednostki, sądząc, że w ten tylko sposób potrafią oni wyrobić sobie niejakie wyobrażenie o całości.

Rozpocznę od przewódców stronnictw wybitniejszych, a następnie przejdę do pionków parlamentarnych, z których niejeden dla tego tylko jest pionkiem, że większość własnego stronnictwa obawia się zbyt wybitnych jego zdolności.

Śród liczniejszych lub bardziej wpływowych stronnictw rej wodzą w Izbie poselskiej: dr. Plener (zjednoczona lewica niemiecka), pan Jaworski (Koło polskie), hr. Hohenwart (stronnictwo niemiecko-narodowe), książę Lichtenstein (stronnictwo klerykalne), a nadto antysemita Lueger, który jakkolwiek niewielką dowodzi garstką, jednakże zasługuje na szczególną uwagę. Młodoczesi nie mają wodza, a raczej mają ich cały szereg, z których wymienić wypada d-ra Gregra i prof. Kaizla.

Dr. Plener, syn byłego ministra skarbu, liczy dziś lat 50, a co najmniej od dziesięciu, odkąd z rąk zgrzybiałego już d-ra Herbsta objął przewodnictwo nad niemieckimi liberałami, stale uchodzi niotylko za kandydata do teki ministeryalnej, ale nawet za przyszłego prezesa gabinetu. Te niefortunne a przydługie konkury o fotel ministeryalny osłabiły już nawet jego powagę i często, chociaż zasłużenie, narażały go na śmieszność. Powaga jego w własnem stronnictwie polega jedynie chyba na niezaprzeczonej czystości charakteru, cnocie u mężów politycznych snadź nie zbyt powszechnej, skoro tak go potrafiła wyróżnić. Co do zdolności i wiedzy ma Plener wielu podkomendnych, którym nie dorównywa. Będąc początkowo w służbie dyplomatycznej, studyował bardzo gorliwie system skarbowości angielskiej, stąd urobiono mu opinię „urodzonego ministra skarbu." Pan Dunajewski był tak złośliwym, że przez lat dziesięć konsekwentnie zagradzał mu drogę do praktycznego udowodnienia tej zdolności, dziś czyni to samo dr. Steinbach, Pod względem politycznym stanowi Plener doskonały okaz liberalizmu austryackiego, gdyż na wskroś jest konserwatystą. Liberalizm jego i jego stronników objawia się tylko negatywnie, mianowicie w zwalczaniu antysemityzmu; po za tolerancyą dla żydów nie widzą ci panowie innych zadań. Liberalny pan Plener głosował za ustawą wyjątkową przeciwko demokratom, za średniowieczną ustawą przemysłową, a przeciwko zniesieniu konfiskat w prasie i usunięciu stempla dziennikarskiego. Powaga jego objawia się jeno w ograniczonem kole posłów, wielkich kapitalistów i żydów, którzy uważają go za taran przeciwko antisemityzmowi; te koła otaczają go przesadną czcią, przypominającą cześć dla Apisa, podczas gdy szersze masy wyborców nie rozumieją go, jak on nie rozumie ich potrzeb. To też charakterystycznym jest fakt, że ten przewódca najliczniejszego w Izbie stronnictwa nie umiał nigdy zdobyć mandatu miejskiego i stale wybierany bywa przez 28 członków Izby handlowej w Chebie (Eger). Jako człowiek jest on doskonałym typem poczciwego mieszczanina, tem doskonalszym, że nie brak mu i również typowych stron śmiesznych. Posiada żonę, której ślepo ulega, a która już niejednokrotnie na szwank naraziła jego względną popularność. Kapitaliści, którzy tworzą spółkę akcyjną, zwaną stronnictwem liberalnem, chełpią się na zewnątrz uczciwością swego przewódcy tak, jak nie przymierzając parweniusz wykształceniem córki. Ta uczciwość stanowi dla nich całą jego wartość; to też przy każdej sposobnośc im więcej sami broją, tem ostrzej nawołują nań: Trzymaj się ostro, bo ty jesteś szyldem naszego handlu! Nieszczęśliwym trafem jednak p. Plener ani posiada żadnego majątku, ani też, wychowany na statystę, żadnego sposobu zarobkowania. Na razie mie-

---

5)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

— Komuż więc dzieje się najgorzej? — pyta z goryczą w głosie.

— Tym, którym najlepiej się dzieje — mówią. Mają bowiem najmniej złudzeń.

— Ph! — słyszeć mi się zdało.

W dalszym ciągu powiadam:

— Każdy człowiek znosi pewną ilość cierpienia; skoro się miara przebierze, idzie on spocząć w Ackerselvie. To nic nie kosztuje; przystęp jest tam, na dole, wolny. Zatem można twierdzić: póki dana jednostka nie idzie do Ackerselvu, póty cierpienia jej nie przekraczają jeszcze miary możliwej. (Hm! — z powątpiewaniem) Tak, ten koniec jest dosyć pewny. Otóż stosunkowo z pośród głodnych mało jednostek idzie do Ackerselvu. Stąd wnoszę, że są cierpienia gorsze od głodu, nieznośniejsze, więcej beznadziejne. Stanowczo błądzimy, mierząc cierpienia tych paryasów łokciem naszym. Nie odczuwają ich wcale tak, jak odczuwalibyśmy je *my*, w podobnych stosunkach. Człowiek jest stworzeniem elastycznem; przyzwyczaja się do wszystkiego.

— Tylko nie do głodu.

— Owszem, w pewnym stopniu, nawet do głodu.

— Czyś pan próbował?

— Naturalnie, że nie.

— A więc, nie wiem, skąd taka pewność!

— Wychodzę ze stanowiska mojej statystyki Ackerselvu.

— Zgłodniali nie tak często może w rzece się chronią, lecz przypuszczam, że to dlatego, iż tak wcześnie umierają. Czytałam w jednem czasopiśmie, że na sto osób umiera trzy — do czterech razy więcej biednych, aniżeli zamożnych.

Ja (wzruszając ramionami): — No, umierać musi każdy. Nie wygrywa się znowu tyle przez życie!

— Ha, w takim razie byłoby lepiej pozabijać ich trochę prędzej, zdaje mi się.

— I mnie... (Wzruszenie ramion)

Pauza.

IX.

Gdybym tylko mógł pojąć...

Wyjść za mnie — o tem nie myśli; wnoszę to z różnych zdań, które wygłasza i z jej zachowania się. Naturalnie; gdyby o czemś podobnem myślała, objawiłaby inną zupełnie ostrożność, wynik najprostszego, wrodzonego taktu kobiecego. Zresztą dwudziestoczteroletnia dama wie, że człowiek z towarzystwa nie żeni się z kobietą, która zachowaniem się swojem — w stosunku do niego lub do innych — budzi jakąkolwiek wątpliwość.

A więc tylko, „żeby zabić nudy?"

Nie dbać o opinię, o przyszłość, o nic z tego wszystkiego, co dla kobiety ważnem jest i świętem... aby tylko zabić „nudy" kilku popołudni? Czy podobna udawać, że się temu wierzy?

A więc może jednak poza tem tkwi skłonność?

Byłoby to milutkie, istotnie. Zakłócić spokój serca kobiety, bez śladu zamiaru lub przyczyny, unieszczęśliwić ją może na całe życie, bez chęci dania jej wzamian czegokolwiek — bez chęci lub też bez możności dania jej choćby wspomnienia, któreby przetrawiać można... rzeczywiście wspaniałe.

...Hahaha, stary ty błaźnie, więc znowu jesteś? Może stać się „nieszczęśliwą!" A teraz jest niby szczęśliwa? Co lepiej, czy zanudzić się na śmierć, czy też na śmierć się zamartwić? Zawsze prawie „moralnie" znaczy to samo, co „tchórzliwie." „Nie chcę jej unieszczęśliwić," tj. wiem, że w każdym razie stanie się nieszczęśliwą; ja tylko nie chcę żadnej w tym względzie „odpowiedzialności," czyli nieprzyjemności, dotyczących mojej osoby. Dziewczyna zmarnieje; niech więc marnieje z nudów — tym sposobem *ja* przynajmniej z udziału jestem wyłączony.

To się zowie mieć „cnotliwe sumienie."

Zresztą niema niebezpieczeństwa. Ona nie ma natury erotycznej; jest to cecha wielu uderzająco pięknych kobiet. Z tej przyczyny tak często stosunkowo piękne te kobiety pozostają niezamężne. I dlatego to mówią, że brzydkie bywają najwięcej kochane. Mają bowiem najwięcej „płci." Piękne a zimne rzadko uczuwają miłość, rzadko więc też budzą wzajemną; jeżeli

szka z rodziną przy 90-letnim ojcu, którzy jako dymisyonowany minister pobiera bardzo znaczną emeryturę; po śmierci zaś ojca traci wszelki dochód. Dopóki był kawalerem, nie kłopotał się o to wcale; ale cóż kiedy w podeszłym już wieku przyszła mu chętka ożenienia się i to z kobietą niesłychanie ambitną, węgierską baronówną Oetvoes. Od tej chwili nie ma spokoju, a uczciwość jego raz wraz ciężkie przechodzi próby. Pani von Plener patrzy na rzeczy praktyczniej i rozumie, że mąż jej nie łatwo dostanie się na fotel ministeryalny; to też coraz to nowe wymyśla plany dla zabezpieczenia przyszłości. W zeszłym roku skłoniła męża, że już zgodził się był na usunięcie z życia politycznego i przyjęcie z rąk hr. Taaffego synekury, dającej 20,000 zlr. rocznego dochodu. W ostatniej chwili powstał w stronnictwie płacz i zgrzytanie zębów; cóż bowiem powie *misera plebs*, kiedy ubóstwiany Apis okaże się nagle pospolitym wołem? Wysłano do p. Plenera deputacyę i skłoniono go wreszcie, aby nawet kosztem domowego spokoju cofnął decyzyę. A jednak podobała mi się w tej sprawie otwartość jego postępowania. Kiedy bowiem dzienniki liberalne usiłowały wmówić w świat, że to wszystko było bajką i p. Plener nigdy nie myślał o podobnym kroku, on sam w klubie przyznał się publicznie, że zniechęcony niepowodzeniami gotów już był do opuszczenia posterunku, ale w ostatniej chwili zrozumiał, że nie wolno mu tego uczynić. Dziś — jak słychać — stronnictwo liberalne zamierza ubezpieczyć swemu przewódcy przyszłość, powołując go na wysokie stanowisko w pewnej instytucyi finansowej.

Z wieku i urzędu przychodzi obecnie kolej na krótką sylwetkę prezesa Koła polskiego.

Pan Apolinary Jaworski objął buławę, jak wiadomo, po ś. p. Grocholskim, który był właściwym twórcą organizacyi Koła, a kierował się przedewszystkiem niesłychaną bezwzględnością wobec członków, teroryzował ich na każdym kroku i sam jeden działał w imieniu całego stronnictwa. On to wprowadził ową politykę targów, którą dziś przyjęły już wszystkie stronnictwa Izby poselskiej. Ilekroć na porządku dziennym pojawiła się sprawa, nie dotycząca bezpośrednio Galicyi, Grocholski, nie badając jej wcale, pytał naprzód, czego sobie życzy rząd, a potem, co w zamian uczynić zamyśla dla Galicyi. Kiedy na tym punkcie nastąpiła zgoda, głosował ze swym klubem za projektem reakcyjnym równie chętnie, jak za postępowym, a często nawet go nie czytał. Przyznać trzeba, że niejedna z tej polityki na Galicyę spłynęła korzyść, ale też zataić nie można, że Koło polskie za czasu rządów Grocholskiego utraciło wszelki polityczny i społeczny kierunek, samodzielność posłów zeszła do zera, a największe talenty marnowały się w bezczynności. P. Jaworski objął w spuściznie całkowity kierunek polityczny Grocholskiego, ale bez jego przewagi. Wynikło stąd, że gdy za rządów Grocholskiego przy każdej sprawie zyskiwał kraj, obecnie przedewszystkiem zyskują jednostki. Pan Jaworski sam służyć może za wzór obywatelskiej uczciwości, a jednak pod jego sterem w Kole doszło do tego, że posłowie zabierają najlepsze posady urzędnicze, ich krewni i przyjaciele żyją z protekcyi, słowem, że rząd okupuje głosy nie już względami dla kraju, ale dla poszczególnych posłów i ich parenteli. O ile jednak prezes Koła, jako człowiek, przedstawia wzór uczciwości, o tyle jako polityk utracił już wszelki kredyt. Lawirując pomiędzy stronnictwami, kłaniając się na lewo i na prawo, układając się z tym, to z owym, a przedewszystkiem ślepo służąc rządowi, doprowadził rzeczy do tego, że w parlamencie z zastosowaniem znanego przysłowia utarło się już zdanie, iż „polonica fides nulla fides.“ Przez szereg lat związany z czechami, na dany znak z góry wydał ich niemcom i od roku już przeszło kręci się pomiędzy klubem konserwatystów a lewicą niemiecką, przychylając się to do jednych, to do drugich, a zawsze stosując się ściśle do poleceń Taaffego. O sprawach natury społecznej nie posiada żadnego zgoła wyobrażenia, a cały kierunek jego polityki i wszystkie jego dążności mają jedynie na celu drobne dla kraju korzyści i ustępstwa, przyczem ów kraj przedstawia mu się jako szlachta galicyjska. Wszystko, cokolwiek Koło uzyskało, obliczone było jedynie na korzyść właścicieli ziemskich, z ich tylko stanowiska roztrząsa ono każdą kwestyę. Od wykupu propinacyi aż do regulacyi waluty ciągnie się długi szereg ułatwień i koncesyj nie dla kraju, ale dla szlachty. Przytoczę jeden tylko przykład. Z wykupu propinacyi otrzymali właściciele ziemscy przeszło 60 milionów zlr., a po przeprowadzeniu tej zmiany większa ich część dzierżawi na nowo propinacye od kraju i poddzierżawia żydom za czynsz, dorównywający temu, który pobierali dawniej, będąc właścicielami propinacyj. W ten sposób, mimo że ubyło tak znaczne prawo, dobra nietylko nie spadły, ale jeszcze podniosły się w cenie. Nie miałbym zresztą nic przeciwko temu, gdyby pieniądze za wykup propinacyj nie były poręczone przez kraj i nie miały być pokryte z podatków opłacanych przez włościan i mieszczan. Podobnież cały ciężar podatku wódczanego wtłoczono na spożywców, a odszkodowanie dano producentom szlacheckim. W żadnym jeszcze razie polityka Jaworskiego nie przysporzyła najmniejszej korzyści ani mieszczaństwu, ani włościanom, ani klasie robotniczej.

Powaga jego w Izbie polega jedynie na solidarności Koła, bo każdy wie, że przez jego usta przemawia 53 posłów. Ta solidarność, zresztą konieczna i użyteczna, jednakże spotyka się z ostrą w kraju krytyką, bo w rezultacie wychodzi na korzyść jeno szlachcie i służy jeno reakcyi. Ale p. Jaworski — i to należy do jego charakterystyki — nie dba o krytykę, bo oprócz szlachty nie uznaje innych sędziów, a już zgoła dziennikarstwo radby zgładzić z powierzchni ziemi. Wszystkie jego starania dążą do tego, aby sprawy publiczne załatwiać o ile można potajemnie i po za parlamentem, najlepiej w przedpokojach dworskich, tak, żeby wyborcy, uchowaj Boże, nie wiedzieli, co się dzieje. W parlamencie przemawia rzadko, jakkolwiek jest doskonałym, acz nadto patetycznym mówcą starej szkoły i znakomicie włada językiem niemieckim.

Wogóle jest to typ szlachcica polskiego, bardzo uczciwy w życiu prywatnem, intrygant w politycznem, człowiek nieznający nowszych prądów i dążeń, polityk zaściankowy o bardzo ograniczonym widnokręgu.

O innych przewódcach stronnictwa pomówię w liście następnym. *Nie-poseł.*

---

wychodzą za mąż, to z ciekawości, albo dla stanowiska społecznego itp. Jeżeli pannie Holmsen sprzykrzy się kiedyś jej panieństwo, to weźmie tego lub innego bogatego męża, który trzymać jej będzie konie i kupować brylanty.

Wogóle, kobieta nie kocha, jak my. Skłonność jej znaczy, że dziecko jej potrzebuje wreszcie ojca; nie jest rzeczą pierwszej wagi, aby to koniecznie był ten lub inny. Jeżeli nie dostaje najlepszego — płacze i bierze trochę mniej dobrego.

A jeżeli wcale za mąż nie wychodzi, to też nic wielkiego. Te stare panny doskonale, dalibóg, bez mężów się obchodzą. „Kwestya kobieca“ prowadzi nawet do tego, aby zwiększyć liczbę starych panien; dla kobiet istnieje tylko jedna żywotna sprawa: zapewnienie bytu. Jeżeli zdołają zapewnić sobie byt, nie dbają ani o męża, ani o małżeństwo; bo to przecież tak świetnie, jeżeli się jest niezależnym od tych wstrętnych, zarozumiałych mężczyzn!

* * *

Ciągle panie używać muszą tych wielkich, szerokich, ogólnych słów, które są tak niewycieniowane, tak gminne. Rzecz jest: albo „miła,“ albo „wstrętna;“ w stosunku do jakiegoś człowieka znają tylko jedno z dwu uczuć: są albo w nim „zakochane,“ albo „scierpieć go nie mogą;“ wobec kwestyj i stosunków ogólnych są albo „rozentuzyazmowane“ albo „nienawidzą“ — grubo to ostatnie słowo podkreślając. Jedno z dwojga: czarne albo białe. Subtelna charakterystyka nie zajmuje ich.

— Tak, ale czyż żądać możecie od nas czego innego, od nas, którześmy się niczego nie uczyły? — powiada Fanny.

* * *

Dziwna. Właściwie byłem trochę zadurzony w Matyldzie; wydawała mi się tak naiwną i dziecinną, tak rozkosznie lekkomyślną, a oto siedzę i czuję się niezdrowym, i myślę o Fanny.

Dziś wieczór byłem ostatecznie zmuszony zamknąć powieki i wyobrazić sobie, że to *ją* trzymam w objęciach...

— Że też zawsze tylko to wydaje się człowiekowi pożądanem, czego *nie* posiada!

* * *

Człowiek powinien żenić się w młodym wieku; w przeciwnym bowiem razie wcale się nie żeni.

Po części mnożą się własne skrupuły coraz więcej i więcej; po części zaś dowiadujemy się za wiele—od żonatych przyjaciół.

Wielki Boże! — wszyscy ci zbiedzeni małżonkowie! Paradują szczęśliwą miną, jak można najdłużej, i mówią: Żeń się, kochany przyjacielu; to jedyne. Kiedy ich się jednak złapie przy trzeciej szklance toddy (jeżeli wogóle na trzecią szklankę pozwolić im sobie wolno) — wtedy słyszy się niejedno.

Zaczynają mówić o „kobiecie“ — w ogólnych zdaniach, w formie ogólnych teoryj. Słyszeli od innych żonatych — taki a taki znany ginekolog twierdzi — czytałem znakomitą fizyologię kobiety d-ra N. N. i tam jest powiedziane. A z chwilą, gdy mężczyźni poczną prawić o „kobiecie“ w zdaniach ogólnych, należy nastawić uszu bo poza tem zawsze coś ukryte.

Znam dwa rodzaje narzekań mężowskich.

Jedni mówią: kobieta jest zimna. To i owo zajmuje ją mało, albo wcale nie, poddaje się tylko z obowiązku i uległości. I zniżają głosy aż do szeptu, zapewniając: „Nie uwierzy pan, jakie to ogólne; niejeden już mąż powierzył mi w tajemnicy, że...“

Temu nigdy zresztą nie wierzyłem. Znaczy to zwykle, że odnośna pani wyszła za mąż bez miłości... co się przecież tu i owdzie zdarza.

Jest to jednak sytuacya brzydka. Lecz jeszcze gorzej dzieje się chyba mężom, których żony są zakochane — jeżeli wierzyć można d-rowi Kraale.

Spotykam się z nim od czasu do czasu u Jonatana, lecz z natury jest trochę mrukiem; nie udaje mi się jakoś pobudzić go do gadania. Dziś wieczorem wszakże siedzieliśmy razem przy kieliszku i naciskałem go tak długo, aż istotnie wylazł trochę ze skorupy.

Dziwny jegomość, nieśmiały, ostrożny, o szerokiej, nieregularnej twarzy i małych szczególnych oczkach; właściwie rozumny; dużo myślał, dużo przeszedł — dużo strasznych rzeczy, bezwątpienia; w gruncie — zajmujący człowiek. Odważył się na eksperyment ożenienia się z przedmiotem zapałów swoich od lat młodych, lecz ożenił się tak późno, że i on i ona dostatecznie byli już przekwitli.

— Większość małżonków twierdzi zresztą, że kobieta jest zimna — drażniłem go.

STRONNICTWO ULTRAMONTAŃSKIE
W SZWAJCARYI.

W chęci oddzielenia się katolickich kantonów („tonderbünd") od Związku w r. 1848 pobudki religijne odgrywały bodaj czy nie znaczniejszą rolę, niż polityczne. Był to jeszcze jeden tylko wybuch odwiecznej walki między katolicyzmem a protestantyzmem. Po stłumieniu wojny domowej w Radzie narodowej znalazło się tylko 7—8 przedstawicieli stronnictwa zwyciężonego, doprowadzonych do zupełnej bezsilności. I trzeba przyznać, iż zwycięzcy niepotrzebnie zaostrzali na wszystkie sposoby nienawiść przeciw katolikom, czem rzucono ich w systematyczną opozycyę, która trwała pół wieku. Już w r. 1848 kwestya wyznaniowa była dźwignią, której centraliści używali dla dopięcia swych celów—ale nie porzucono jej i później. Wprawdzie przeprowadzono w ten sposób pod płaszczykiem walki z Kościołem wiele bardzo donośnych reform, ale polityka tego rodzaju mogła oczywiście tylko zwiększać ducha oporu masy katolickiej, która czyniła wszystko, co tylko było w jej siłach, aby pogłębić przepaść, wydrążoną przez rok 1848. Walka religijna musiała jednak przybrać charakter czysto polityczny. Segesser, wódz szwajcarskiego ultramontanizmu, wskazywał nie bez słuszności, iż głównem złem, przeciw któremu walczyć trzeba, jest władza centralna, pochwycona przez partyę protestancką, dążącą do zniszczenia wrogiej religii i że ocalić ją można jedynie przez zachowanie tego, co jeszcze pozostało z autonomii kantonalnej. Cały system polityczny Segessera i jego 40-letnia działalność publiczna obracały się koło tej właśnie idei. Z drugiej strony partya liberalna i radykalna nic nie robiły dla pogodzenia się ze swymi przeciwnikami. I owszem, popierały walkę z ultramontanizmem, gdzie się tylko ona objawiała, rozpalając namiętności i nienawiści religijne. Zatargi te doszły do swego szczytu w okresie *kulturkampfu*. Pod wpływem *Syllabusa* i dogmatu o nieomylności papieża utworzyła się w Szwajcaryi, również jak i w Niemczech, sekta niewierzących w tę nieomylność (anti-infaillibilistów), czyli „staro-katolików," która znalazła gorące poparcie ze strony partyi radykalnej. Ta myślała skorzystać z ruchu, aby utworzyć ni mniej ni więcej tylko „niezależny kościół narodowy." Walka rozpoczęła się w Genewie między Radą Wielką a opatem Mermillod i bardzo wiele przyczyniła się do chwilowego zwycięstwa staro-katolików, wykazując niebezbieczeństwa, jakiemi państwu grożą roszczenia ultramontańskie. Opat sprzeciwił się zakazowi Rady ogłoszenia dogmatu nieomylności i oświadczył, iż jest ponad prawami świeckiemi. Zatarg skończył się wypędzeniem w r. 1873 Mermilloda z Genewy i przyjęciem przez Radę prawa, na mocy którego księża mają być bezpośrednio przez lud mianowani, dzięki czemu ex-ojciec Hyacynt stał się proboszczem Genewy. Taka sama historya powtórzyła się w Bazylei z biskupem Lachalem, który także odwołany został i w kilku innych kantonach: trzeba było zmienić 99 księży, którzy ogłaszali swą niezależność od państwa. Zatarg przybrał takie rozmiary, iż rząd berneński musiał się wdać w tę sprawę. Rozpoczęła się namiętna walka między władzą świecką, żądającą ścisłego posłuszeństwa swym postanowieniom, i „infaillibilistami," nieprzyznającymi żadnej władzy, oprócz papieskiej. Rada Narodowa, dla poskromnienia buntowników przyjęła ustawę o nowej organizacyi kultów, oddającą wybór księży, powtarzany co lat sześć, w ręce samych parafian. W ostatecznym rezultacie nastąpiło zerwanie wszelkich stosunków między rządem berneńskim a Piusem IX. Ubiegło lat 15 i z wielkiej góry urodziła się drobna mysz. Namiętności się uspokoiły i z obu stron podano sobie ręce do zgody. Mermillod powrócił do Szwajcaryi, stosunki dyplomatyczne z Leonem XIII znów zostały zawiązane, a reforma staro-katolicka spełzła na niczem. Miała ona świetne początki, cieszyła się poparciem moralnem i materyalnem wielu rządów kantonalnych. Ojciec Hyacynt, nawołujący do wyzwolenia się z pod „jarzma rzymskiego," miał wielkie uznanie w masach; księża, znużeni surową dyscypliną starego kościoła, licznie przystępowali do „katolicyzmu narodowego." Dano mu biskupa, tworzono dlań osobny fakultet w Bernie. Obecnie cały ten, potężny niegdyś ruch w zupełności prawie zanikł, pozostał nieznaczny już tylko strumyczek. Fakultet starokatolicki w Bernie wegetuje bez słuchaczów. Młodzi księża „wyrzekłszy się swych żon i błędów," powrócili na łono kościoła apostolskiego, a „narodowy" okazał się złudzeniem w całej Szwajcaryi francuskiej; w niemieckiej jeszcze istnieje, ale już nie czyni postępów. Wraz z nastąpieniem pokoju stronnictwo katolickie, ściśle dawniej zjednoczone w walce z groźnym wrogiem, zaczyna się rozkładać. Kwestya społeczna, dla której Segesser i jego uczniowie nie mają żadnego lekarstwa, oderwała od partyi jeden jej odłam, „chrześciańsko-społeczny" *). Na czele nowego ruchu znajduje się Decurtins który wstąpił do Rady narodowej w r. 1881 i pozostaje w niej aż dotychczas. W marcu 1885 r. przedstawił on projekt rewizyi ustaw o odpowiedzialności cywilnej patronów w razie skaleczeń i innych nieszczęśliwych wypadków, która dawniej prawie nie istniała. Wychodząc z „prawa żelaznego," skazującego ludność na wegetacyę, nieprzewyższającą poziomu najkonieczniejszych środków utrzymania, Decurtins żądał, aby państwo przeciwdziałało brutalizmowi tego prawa, ustanawiając *minimum* płacy. Trzeba, ażeby ona oprócz najniezbędniejszych potrzeb, zawierała jeszcze: 1) równoznacznik ryzyka śmierci lub skaleczenia, zależny od stopnia niebezpieczeństwa każdego rzemiosła; 2) równoznacznik za zużycie normalne i naturalne sił. Dopóki minimum to osiągnięte nie zostało, ugoda między patronem a robotnikiem nie może być, zdaniem autora projektu, uważana za dobrowolną, gdyż jest oparta na wyzysku i niezgodna z wymogami moralności. Projekt ten urzeczywistniony został wprawdzie nie w formie ustanowienia minimum płacy, lecz w formie obowiązkowego ubezpieczenia ze strony państwa w r. 1890. Ale jeszcze w r. 1887 zrobiono krok ku temu ostatecznemu rozwiązaniu kwestyi, ustanawiając odpowiedzialność cywilną patronów w myśl Decurtins'a. Rzecz godna uwagi, iż cała prawica z Sagesserem, Keellem, Zempem była

*) O kierunku tym P. Pictet napisał w „Bibliothèque universelle" r. b. (maj i czerwiec) sumienną pracę, z której część wiadomości bierzemy.

Wzruszył trochę ramionami, poczem wyskrzeczał ostrym swoim głosem:

— To mężczyźni nie mają talentu rozbudzenia kobiety, bratku. Jeżeli zaś już rozbudzona, to... zazwyczaj nie ma powodu uskarżać się na chłód. Chyba przeciwnie.

— Tak? To mnie dziwi.

— Kobieta jest istotą płciową *par excellence* — zawarczał. Jednomęztwo — to istny wymysł szatana.

Rozprawiałem z nim, póki nie powziąłem jakiegoś pojęcia o jego położeniu. Zrobiło mi się jakoś bardzo markotno na duchu. Jednak ta panna Berner ma słuszność ze swojem małżeństwem rozumowem.

* * *

Przeróżne straszliwe opowiadania z życia małżeńskiego na myśl mi wpadają. Widziałem dziś agenta Lunda na ulicy i przypomniałem sobie, co mi niegdyś opowiedział.

— He, mospanie; pewnie, że to komiczne; młodość trawimy na szukaniu sobie żony, a w wieku dojrzałym niemałą mamy pracę, chcąc jej się pozbyć znowu. Bo to ostatnie, dalibóg, cięższem jest zadaniem, aniżeli pierwsze.

— No, wie pan... może prawo nie dosyć jest liberalne?

— Prawo? Ha, prawo to głupstwo; obejść je nietrudno; nie, tu idzie o kobietę, widzi pan!

— Możesz jej pan przecie siebie uprzykrzyć!

Zaśmiał się.

— Co tam! jużem jej się sprzykrzył, lecz rozwieść się — hohohoho! Więc, widzi pan, nie było rady, musiałem spróbować skandalu. Tak jest, tak; zupełnie otwarcie; i ona dowiedziała się o wszystkiem!

— No?

Zaśmiał się znowu głębokim, wysilonym śmiechem, który nieprzyjemnie działał na nerwy.

— Przebaczyła mi! — rzekł.

— Dobrze, lecz ciągle...

— Owszem, raz po razie przebaczała. Beczała trochę, prawda; popisała się jednym atakiem spazmów, czy dwoma; z chwilą jednak, gdy pozory były uratowane — natychmiast częstowała mnie przebaczeniem, hohohoho! A jest się przecież ucywilizowanym człowiekiem; nie można obrażać damy, tak sobie, ni stąd, ni zowąd!

— Hm!

— Raz zaszedłem już tak daleko, że odegrała tej komedyi scenę ostatnią; pan już wie — właśnie Nora uciekła. Dzięki Bogu! — pomyślałem sobie i poszedłem do klubu; możesz pan sobie wyobrazić, żem święcił swoje wybawienie, jak należało. Ale kiedy wróciłem do domu — ohohoho! Kto siedzi u mnie w salonie? kto, jeśli nie moja żona? W całkowitym stroju podróżnym i zapłakana, straszna, po wszystkich krzesłach z całą swoją desperacyą rozłożona. Hohohoho!

— No, to mógłbyś pan przecież poprostu...

— Odegrała atak nerwowy przedniego gatunku, pierwszej klasy, A I z gwiazdką. Wytrzymałem mężnie, myśląc: to przecie już raz ostatni... Wreszcie spostrzegła, że metoda jej już nie działa i że jednak grozi niebezpieczeństwo; więc rzuciła mi się na szyję — hohoho — i przebaczyła mi. — Ohhoho — tak; nie była bez humoru.

Nie przypominam już sobie, jakich ten jegomość nie chwytał się sposobów, aby uchronić się od przebaczenia swojej żony; lecz pamiętam jeszcze melancholijne uwagi, któremi rozmowę ze mną kończył.

— Ha, tak, tak! Niegdyś byłem duszą wesołą; dobry humor, miły facet... Lecz w ciągu tych sześciu lat stałem się poprostu... gorylem. Tak jest, gorylem. Cóż u dyabła robić! Tak, tak, na chorobę: „żona" istnieje jedno tylko lekarstwo: straszna, wielka cierpliwość. Albo, jeżeli się tego towaru na składzie nie ma — wtedy lekarstwem jest dobry, silny powróz, tak. Tak, tak, ha! Nie dla naszej przyjemności żyjemy na świecie, jak panu wiadomo! Ja jednak, widzi pan, myślałem sobie: przecież byłoby zrządzeniem dyablem, gdybym ja sobie z tobą, babo, rady nie dał — i w ten sposób poradziłem sobie.

...Najgorszą stroną całej tej sprawy jest, że człowiek ten do dziś dnia kocha jeszcze swoją żonę...

* * *

Prześladuje mnie dziwna myśl. Ten agent Lunde jest przecież dokładnem drugiem wydaniem ojca Fanny (opowiada o rodzicach swoich, ilekroć ją proszę, aby o sobie mówiła). Przypuściwszy, że ożenię się z Fanny (która prawdopodobnie po niejakim czasie stanie się kopią swojej matki), natenczas według wszelkiego prawdopodobieństwa i ja stanę się takiem marnem stworzeniem... takim panem Holmsen, lub

przeciw projektowi. Istniała jeszcze wówczas głęboka nienawiść między reformatorem chrześciańskim a przyszłymi jego przyjaciołmi politycznymi.

W dalszym ciągu Decurtins przyjął czynny udział w urządzeniu „Sekretaryatu pracy,“ instytucyi statystycznej, która w uregulowaniu stosunków pomiędzy patronami a robotnikami już odegrała znaczną rolę, a odegra w przyszłości decydującą. „Sekretaryat“ miał jednak być mianowany, w myśl ustawy przyjętej przez rząd, przy współudziale wszystkich stowarzyszeń robotniczych szwajcarskich. W tym celu musiały się one zorganizować w jedną wspólną „federacyę.“ Koło jej utworzenia Decurtins znowu dzielnie się krzątał, odpierając energicznie pociski, których mu prawica nie szczędziła: „Cóż nas powstrzymać może — mówił on — od przystąpienia do federacyi? Czy różnica w kwestyach wyznaniowych? Bynajmniej. Ja jestem ultramontaninem duszą i ciałem, ale w sprawach społecznych, w sprawach chleba codziennego, godzę się z każdym, kto się chce przyczynić do ich rozstrzygnięcia. Głód bowiem nie jest ani protestancki, ani katolicki.“ Decurtins został powołany przez robotników do komitetu kierującego „federacyą.“ Następnie wraz z dep. radykalnym Genewy, Favonem wystąpił z projektem, żądającym, aby Rada federalna wstąpiła z rządami innych państw w układy co do ustanowienia międzynarodowego prawodawstwa pracy kobiet i dzieci oraz określenia dnia normalnego. Propozycya była zrobiona i dobrze przyjęta przez wszystkie rządy, gdy znane reskrypty Wilhelma II zwołały zjazd do Berlina, tak, że berneński spełzł na niczem. Ale w tym czasie Leon XIII-ty napisał list do Decurtins'a z uznaniem jego zasług, poskramiając w ten sposób opór, który reformator dotychczas spotykał śród swych kolegów z prawicy.

Wszakże działalność Decurtins'a rozwijała się nie tylko w parlamencie, ale i w istniejących organizacyach katolicko-robotniczych. Do tych należą 1) *Piusverein* liczący koło 20 tys. członków z rozmaitych klas społecznych i stawiający sobie, obok religijnych, cele filantropijne, a także wyszukiwanie zajęcia robotnikom bez pracy; 2) kilkadziesiąt *Gesellevereine* pomagających robotnikom wędrującym; 3) założone w 1890 r. w Zarychu „Stowarzyszenie katolickich polityków społecznych,“ mające na celu „studya praktyczne nad kwestyą socyalną w duchu i kierunku Kościoła i głównie w zastosowaniu do Szwajcaryi“; prezydentem stowarzyszenia jest dr. Eberlé; 4) cały szereg organizacyj czysto robotniczych, katolickich, mających kasy zapomogi, wzajemnej pomocy i t. d. Prof. Beck z Fryburga wyraźnie przyznaje, iż wszystkie te stowarzyszenia podjęły walkę z socyalizmem bezreligijnym, zapomocą oświecania i wspomagania swych członków. Zarazem chcą one wywrzeć nacisk na machinę państwową dla przymuszenia jej do zajęcia się reformami. Najmniej przeniknęły nowe idee do „Piusvereinu,“ przeciwnie znalazły tam dość silny opór, tak, że postępowcy z pozostałych organizacyj, wyżej wyliczonych, utworzyli oddzielne stronnictwo katolickie robotnicze, obejmujące kilkadziesiąt stowarzyszeń i kilka tysięcy członków i mające wielką przyszłość przed sobą zarówno dzięki samym warunkom swego bytu, jak i dzięki kilku energicznym osobistościom, które mu przywodzą. Należą tu, oprócz Decurtins'a, prof. Beck, adwokat Feigenwinter, żądający rewizyi prawa hypotecznego, aby tą kwestyą wciągnąć masy rolnicze w ruch społeczny, względem którego one dotychczas zachowują się wrogo, Baumberger, Ming, Pythou i inni. Głównymi organami nowej partyi jest „Basler Volksblatt“ i „Ostschweitz.“

Słowem, znajdujemy się wobec ściśle określonego rozłamu w łonie partyi ultramontańskiej. I można już obecnie mówić o „prawicy katolickiej,“ która zachowuje tradycye kulturkampfu i o „lewicy katolickiej,“ która podlega wpływowi ruchu robotniczego. Pierwsza ma siedlisko w kantonach katolickich (Luzern, Tessino, Fryburg i drobne), gdzie jej przewodnicy są ludźmi rządu, mało skłonnymi do idei socyalnych, gdyż ich wyborcy to chłopi. Będąc u władzy w swych kantonach i przedstawiając tradycye polityczne Sonderbunda, ludzie ci są kantonalistami, którzy odmawiają związkowi w sposób energiczny wszelkich nowych kompetencyj. Natomiast „lewica katolicka“ ma swe siedlisko w kantonach protestanckich (Zurych, Bazylea i in.) i składa się ze skromnych robotników, nienależących do klasy rządowej. Mało ich obchodzą niezależność kantonalna i tradycye historyczne. Zwrócą się oni do tych, którzy im obiecywać będą polepszenie bytu i w Bernie bez wahania poprą środki centralistyczne, jeżeli one mieć będą charakter reform społecznych. Dawniej katolicy szli jednym zwartym szeregiem przeciw wszelkim stronnictwom postępowym. Obecnie szukają oni sojuszników często w najbardziej krańcowych obozach, o ile to może być pożyteczne dla ich polityki, i czynią zarazem ustępstwa dążnościom ku zjednoczeniu. Na wszystkie te herezye ultramontanie czystej krwi spoglądają ze zgrozą, ale liczba ich z dniem każdym się zmniejsza.

Eipon.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ile razy monarchowie się spotkają, zawsze prasa pyta siebie samej: czy temu spotkaniu należy przypisywać znaczenie polityczne, czy też nie? — i odpowiada sobie według woli — albo tak, albo tak. To samo dzieje się z odwiedzinami królewskiej pary włoskiej w Berlinie: jedne dzienniki twierdzą, że jest to wizyta zwykła, inne — że niezwykła. Za tą ostatnią przemawia obecność ministra spraw zagranicznych, który towarzyszy Humbertowi zapewne w jakimś celu. Naturalnie z pierwszego pytania powstaje drugie: o czem p. Brin z p. Caprivim będą się; naradzali? ale rozwiązanie tej zagadki musimy pozostawić „źródłom dobrze poinformowanym,“ które nam niezadługo nakłamią, co się tylko zmieści w ich kolumny. Z natury rzeczy wszakże wynika, że rząd włoski musi się porozumieć z niemieckim w sprawach przymierza, które wymagają pewnych narad skutkiem wrzenia wewnętrznego i biedy we Włoszech, partych względami ekonomicznymi ku oszczędnościom. A tego, jak wiadomo, nie znosi Mars, który jest bogiem trójprzymierza.

Co do samego przyjęcia w Berlinie, miało ono być bardzo serdecznem, rzec nawet można—manifestacyjnem. Ludność uczestniczyła w zgromadzeniach ulicznych bar-

---

agentem Lunde. Widzę się w tej roli — ciężkim od piwa i gorącym od cognac'u, wlokącym się od knajpy do knajpy i filozofującym „o kobiecie.“

Ależ u kata, ja nie chcę się z nią żenić; cóż to za paplanina? Ja właśnie z panną Holmsen żenić się *nie* chcę!

X.

Niema nic śmieszniejszego nad spotkanie się dwóch dawnych towarzyszów od kieliszka i piekielnych hulanek, z których jeden pozostał wierny dawnemu życiu, drugi zaś stał się pasterzem dusz. Spotkałem dziś wieczorem w towarzystwie dawnego mego „brata od kieliszka“ i „współpijanego“ Fritza, alias „oficera,“ jako bardzo czcigodnego — pana pastora Löchen.

Niejedną noc przemarzyliśmy i „przejubileuszowaliśmy“ — jak to zwykliśmy byli nazywać — razem; Bóg wie, czy on jeszcze owe chwile pamięta. Był śmiałym, pięknym chłopcem, chwackim, tęgim, o jasnym, marsowym wąsie (skąd przydomek „oficera“), skory do kielicha i wesoły wśród dziewczyn. Do hulanek najlepszy towarzysz, jakiego tylko życzyć sobie można; śpiewał dobrze, gadał dobrze, sypał dowcipami i pieprznemi opowiastkami; sam wymyślał figle, awantury; nadto, wesoły komedyant w teatrze studenckim; zdaje mi się, że wielką kwestyą jego życia było, czy ma zostać poetą, czy też aktorem.

Wreszcie miara tego „dolce jubilo“ przebrała się widocznie; nagle urwał, stał się statecznym mężem i rzucił się do teologii. Odsunęliśmy się od siebie i zaczęliśmy mówić każdy swoim językiem, póki nie przestaliśmy się rozumieć. Wkrótce ograniczaliśmy się na ukłonie przy spotkaniu na ulicy; obejście jego stawało się coraz więcej frakowem. I on sam też. Oblicze jego wyciągnęło się, stając się coraz bledszem i bledszem; w końcu odpadły wąsy i stanął gotowy *cand. theol.*

Po kilkoletniem niewidzeniu się spotkałem go dziś wieczorem po raz pierwszy. Był nie do poznania. Pastor od stóp do głowy. Twarz jakby zupełnie nowa, ze wszystkiemi temi długiemi liniami duchownego i ze wszystkimi, szerokimi, duchownymi rysami; nawet usta są zmienione, szerokie, uprzejmie poważne, bogobojne, duszpasterskie; tylko w oczach są jeszcze ślady dawnego wesołego humoru.

Doznałem wrażenia, jak gdybym spotkał człowieka, który umarł i znowu zmartwychwstał. I on pewnie podobnego w stosunku do mnie doświadczył uczucia; powtórzył bowiem kilka razy, nie bez wzruszenia: „To dziwne, Gram, jakeś ty się zmienił!“ Odpowiedziałem z ironią, której pewnie nie zrozumiał: „I ty niezupełnie jesteś tym samym, co dawniej, pastorze!“

— No i jakże ci się właściwie wiedzie, kochany przyjacielu? — Starał się w najlepszej myśli być bliźnim.

— O dziękuję, ujdzie. Nudzę się przez osiem dni w tygodniu i zabawiam się przez czas pozostały.

— Hm, nudzić się — rzekł z uśmiechem, przybrawszy znowu minę pastora. — O, i ja próbowałem tego niegdyś, za dawnych czasów.

— Tylko za dawnych czasów?

— Tak, zdaje mi się, istotnie, że słowo „nudzić się“ ze słownika chrześcianina jest wykreślone.

Już — już budził się we mnie dawny rabulista i śmiałek; gdy wtem spostrzegłem gospodynię domu w pobliżu; spozierała na nas trochę niespokojnie — i zapanowałem nad sobą. Bąknąłem coś bardzo grzecznego o tem, że chrześcianom tak się pewnie dzieje, jak tym z pośród nas, którzy w ten lub inny sposób przebyli wielką rezygnacyę: wiemy, że nuda należy tu nieodłącznie, przyjmujemy ją tedy, niby krzyż, bez szczególnego szemrania — przyjmujemy ją ostatecznie jako coś, co być musi, jako rzecz normalną, której się już nie odczuwa...

Lecz odparł:

— Nie. To nie rezygnacya. Przeciwnie. To nadzieja, wiara, odwaga życiowa — chęć do życia. Zapełniamy każdą godzinę, każdą minutę — i zapełniamy ją czemś, co warte trudu!

— Tak, tak, jeżeli się to wie z taką pewnością — odrzekłem i przeszedłem na inny temat. Rozstaliśmy się w „nadziei,“ że się znowu gdzieś spotkamy. Na co by się to zdać miało!

Stanowczo jest szczęśliwszy ode mnie. Jednak w żaden sposób zazdrościć mu nie umiem. Nie *szczęścia* szukamy, szukamy czegoś innego, wyższego...

(D. c. n.).

dzo tłumnie i objawiała najwyższe zadowolenie. Przy wjeździe monarchów do stolicy burmistrz powitał króla włoskiego patetyczną przemową.

Bismarck nie ograniczył się w Wiedniu na uroczystościach weselnych syna, lecz odświeżył swoje stosunki polityczne. Odwiedził hr. Kalnokego, który mu zaraz oddał wizytę, był nawet u ambasadora niemieckiego, który jest „chory“ na przypadłość w dyplomacyi bardzo dobrze znaną. Wogóle obaj Bismarkowie — bo i syn wstępował w ślady ojca — nie omijali rozmaitych dostojników i nawzajem nie byli przez nich unikani. Pewna ich część znajdowała się nawet na obchodzie ślubnym.

Wybory w Belgii do konstytuanty, mającej dokonać rewizyi statutu organicznego, dały taki rezultat, który to przedsięwzięcie czyni zupełnie niepewnem. Powołano do Izby: 92 klerykałów i 60 liberałów, do senatu zaś 46 i 30. To znaczy, iż konstytuanta składać się będzie ze 138 pierwszych i 90 drugich. Daje to przewagę ultramontanom, ale nie daje im takiej, jakiej potrzebują do przeprowadzenia swych uchwał ($^2/_3$ głosów). Gdy więc przed wyborami ani myśleli o zaprowadzeniu głosowania powszechnego, teraz wzięli je pod rozwagę i będą próbowali przykroić do własnych zamiarów. Dziwną koleją losu przedstawiciele narodu, którzy mają pogrzebać *census* wyborczy, zostali wybrani przez uprzywilejowanych. W jakiej zaś sprzeczności znajduje się obecna konstytucya z nastrojem mas, dość powiedzieć, że gdy w Gandawie urządzono próbę, 21,462 osoby oświadczyły się za głosowaniem powszechnem, a tylko 186 — przeciw.

Nadchodzące wybory do parlamentu angielskiego rozpoczną się również pod znakiem zapytania. Z wielu powodów większość narodu chciałaby torysom udzielić kilkoletniego wypoczynku i powołać do steru whigów, ale Gladstone naraził się pewnej części wyborców. Mianowicie oświadczył deputacyi robotniczej, że nie może zająć się sprawą ośmiogodzinnego dnia pracy i resztę dogasającego życia postanowił poświęcić *home-rule'owi* irlandzkiemu. Radził on najmitom lepiej zastanowić się nad swemi żądaniami, nad któremi on sam prawdopodobnie jeszcze nie zastanowił się. Rzeczywiście Gladstonowi niewiele już pozostaje życia, nie to jednak przeszkadza mu w podjęciu tej sprawy, ale nierozumienie jej. Bądź co bądź, jest to człowiek przeszłości.

Serbia postradała jednego z trzech regentów, generała Kostę Proticza. Kandydatów na zastąpienie go nie brak, ale brak ludzi energicznych spokojnie, do jakich on należał.

Po nowych wyborach w Grecyi Trikupis powrócił do steru państwa.

O podróży Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Konstantynowicza telegraf doniósł następujące wiadomości:

Centrexeville 22 czerwca. Jego Cesarska Wysokość wyjechał stąd w poniedziałek o godzinie 7 zrana. Ulice miasta, któremi odbywał się przejazd, przystrojone były flagami, a liczne tłumy z głęboką czcią i serdecznością przyjmowały Wielkiego Księcia. Na dworcu kolejowym Jego Cesarskiej Wysokości ofiarowano mnóstwo kwiatów. Pociąg ruszył przy okrzykach: „Niech żyje Rosya!“

Nancy, 22 czerwca. Na stacyi kolejowej oczekiwały tłumy publiczności oraz studenci przybycia Jego Cesarskiej Wysokości Wielkiego Księcia Konstantego Konstantynowicza, powracającego tędy z Contrexeville; wszakże Jego Cesarska Wysokość opuścił pociąg kolejowy na przedostatniej stacyi i przybył do Nancy powozem, a o godzinie 1 z południa udał się w dalszą drogę do Niemiec. Tłumy ludu witały Jego Cesarską Wysokość okrzykami: „Niech żyje Rosya!“ Prefekt i mer rozmawiali z Jego Cesarską Wysokością, a studenci wręczyli bukiet, za który Jego Cesarska Wysokość gorąco dziękował.

Na wszystkich stacyach od Nancy do granicy gromadziły się tłumy publiczności na dworcach, przyjmując Jego Cesarską Wysokość grzmiącymi okrzykami. Orkiestry miejskie wykonywały hymn ruski. W Panvy wręczono Jego Cesarskiej Wysokości bukiet. Wszędzie rozlegały się okrzyki: „Niec żyje Rosya! Niech żyje Wielki Książę!“

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Z obozu „młodych.“ — Proteusz literacki. — Hermann Bahr i najnowsza jego sztuka. — Realizm jako obrońca cnót małżeńskich. — Emanuel Reicher i jego trupa. — Dramat Antropowa. — Nowele Sudermanna i Hauptmanna.

Historya produkcyi dramatycznej młodoniemieckiej jest nieprzerwanym szeregiem katastrof scenicznych, mniej lub bardziej dotkliwych dla autora i grupy literackiej, do której on należy. Świeżo znowu z wielkim hałasem przepadła w berlińskim „Lessingtheatrze“ nowa sztuka kierunku realistycznego. Poważna krytyka niemiecka wymierza najcięższe swe pociski w nieszczęśliwy ten płód muzy dramatycznej; zasłania go własnemi piersiami w tygodnikach i miesięcznikach młode grono zwolenników nowego sztandaru. O los autora niema obawy w tej bójce. Należy on do tych, którym nie szkodzą najcięższe razy. Ilekroć zdarzyło mu się dotychczas upaść choćby najfatalniej — a zdarzało się to dość często — zawsze podnosił się znów bez szwanku. Jest to istny bajazzo literacki o gibkich kościach i wywichniętych stawach. Wstanie, zakręci młynka w powietrzu, ukłoni się zgrabnie — i już zapomnieliśmy o nieszczęśliwej awanturze i klaszczemy mimowoli.

Autorem tym jest Hermann Bahr, młody jeszcze literat niemiecki a najwybitniejszy — o ile tu wogóle o wybitności mówić można — przedstawiciel grupy austryackiej w obozie młodoniemieckim. Jest on synem notaryusza w Linzu i przebywał przez szereg lat za granicą we Włoszech, Francyi, Hiszpanii, a nawet w Petersburgu. Przywiózł sobie z tych podróży zdumiewającą czasem zdolność naśladowania najróżniejszych i najsprzeczniejszych między sobą kierunków i form literackich obcych, przeważnie francuskich. Niedawno w zbiorze szkiców krytycznych „Zur Ueberwindung des Naturalismus“ głosił dogmat nowego romansu psychologicznego *à la* Stendhal i Bourget, wyrzekając się uroczyście naturalizmu, którego przed rokiem był jeszcze gorącym zwolennikiem w innym zbiorze p. t. „Zur Kritik der Moderne.“ Przed miesiącem dopiero urządził w Wiedniu wieczór „symbolistyczny“ i wystąpił z odczytem o „mistycyzmie nowoczesnym.“ Z utworów jego dramatycznych przedostatni samym już tytułem „Matka“ przyznawał się do naśladownictwa dramatu Strindberga „Ojciec.“ Ostatni znów p. t. „Die häusliche Frau“ jest wierną kopią licznych sztuk Becque'a, Ancey'a i Julliena, które wiecznym swym pesymizmem i wieczną ironią nudzą publiczność paryską w „Théatre libre“ od lat kilku. Jak widzimy, prawdziwy literat *fin de siècle*, umiejący pomieścić odrazu w głowie swej wszystkie sprzeczności naszego czasu, a lutnię swą nastroić na wszystkie tony. Przytem świetny typ młodego pokolenia literackiego w Niemczech, szukającego wszędzie wzorów i idącego niewolniczo za każdym prądem zagranicznym.

Nowa sztuka Bahra przypomina, jak rzekłem już, utwory paryskich dramaturgów realistycznych. Przypomina ona jeszcze bardziej należący do tej samej kategoryi, a znany powszechnie dramat włoski Marka Pragi „La moglie ideale.“ Nawet tytuł w obu utworach prawie ten sam. Tematom dla obu jest, jak zwykle, cudzołóztwo, ale cudzołóztwo w oświetleniu najnowszej mody, pojęte ze strony trywialnej, nudnej, bez gwałtownych namiętności, bohaterskich kochanków i bez krwawego rozwiązania. Rola żony niewiernej jest w nowem tem przedstawieniu rzeczy zwykle dość niefortunna. W sztuce Bahra żona ta nazywa się Anna Schlieben. Nudzi się ona w domu z mężem, poczciwym adwokatem, dlatego wykrada się biedaczka od czasu do czasu do pracowni kochanka swego rzeźbiarza Gudego i — pali u niego papierosy. Ale tu znów sytuacya odwrotna. Kochanek nie bardzo rad tym wizytom, gdyż popierwsze nudzą go one, a powtóre ukrywa on w pracowni swej drugą swą kochankę — pokojówkę Anny. Stara się więc pozbyć niewygodnego jarzma miłosnego, co mu się w końcu udaje tą drogą, że otwiera sam oczy małżonkowi zdradzanemu. Żona wraca do męża, nie zrywając zupełnie z kochankiem, który stał się jej potrzebnym, a kochanek pozostaje przy pokojówce. Jeśli usuniemy pokojówkę, mamy rozwiązanie takie samo, jak w dramacie włoskim. Rzecz dziwna — rozwiązanie to możnaby prawie nazwać moralnem, chociaż prawdopodobnie niemało zgorszyliby się autorowie, gdyby usłyszeli, że się ich posądza o intencye tego rodzaju. Ale zważmy: kochanek jako figura wstrętna, małżonek jako postać sympatyczna, miłość występna przedstawiona jako stosunek nudny i dla wszystkich stron uciążliwy — toć to przecie istny hymn na cnoty domowe i wierność małżońską, tryumf kompletny miłości legalnej! Do tego nie doszedł realizm, krocząc konsekwentnie drogą przez się obraną. Jesteśmy znów tam, gdzie byli niegdyś praojcowie nasi. *Les extrêmes se touchent!..*

Dramat Hermanna Bahra odegrała w teatrze berlińskim nowa trupa aktorów, stojąca pod kierownictwem Emanuela Reichera. Artysta ten, rodem z Krakowa, reprezentuje obecnie w niemieckiej sztuce scenicznej skrajny realizm. Występuje też prawie wyłącznie w utworach młodej szkoły literackiej i aby zapoznać z nimi szersze koła publiczności, zorganizował w ostatnim czasie własną trupę, z którą wybiera się w lipcu na wystawę muzyczno-teatralną do Wiednia. Ukaże w międzynarodowym turnieju dramatycznym własny repertuar, z którym tymczasem zaznajamia berlińczyków. Nie są oni dotychczas bardzo zachwyceni wyborem sztuk, mających przedstawiać realizm niemiecki w Wiedniu i wedle próbek, które otrzymali na razie, nie mają ku temu żadnej przyczyny. Jedną z tych próbek było właśnie, jak wspomniałem, wystawienie dramatu Bahra. Drugą i nie bardziej szczęśliwą było wystawienie utworu zmarłego pisarza ruskiego, Antropowa, „Błędne ogniki.“ Dramat, świadczący o pewnym talencie, ale bardziej jeszcze o niedojrzałości umysłowej młodego autora, doznał dość chłodnego przyjęcia u publiczności berlińskiej.

Na polu nowelistyki młoda szkoła niemiecka wydała w ostatnim czasie dwa dziełka, o których wspomnieć tu wypada nie tyle dla wewnętrznej ich wartości, ile dla nazwiska autorów. Sudermann napisał nowelę p. t. „Wesele Jolanty,“ która znów dowiodła dobitnie, że autor „Honoru“ tkwi sercem i duszą w dawnym kierunku duchowym i literackim i że niesłusznie zaliczają go dla kilku scen z życia ludowego berlińskiego do „młodych,“ z którymi nic nie ma wspólnego. Nowa jego praca jest zresztą nowelą zakroju humorystycznego, tak podobną do tysiąca innych tego rodzaju, że zbytecznem byłoby rozpisywać się tu

o niej obszerniej. Bardziej uwagi godnym jest natomiast najnowszy utwór Gerharda Hauptmanna p. t. „Apostoł.“ Dziwny ten talent przybiera co chwila nowe formy, w których coraz trudniej się zoryentować. Unika on tak dalece wszystkiego, coby tendencyą nazwać można, usiłuje zupełnie wyrzec się wszelkiego stanowiska osobistego, że w końcu dzieła jego stają się dwuznaczne, a nawet wprost niezrozumiałe. Tak np. przy dramacie Hauptmanna „Einsame Menschen“ krytycy berlińscy i wiedeńscy sprzeczali się między sobą o to, czy należy bohatera pojmować jako figurę ironicznie skreśloną, czy też należy brać go na seryo, czy autor chciał zrobić zeń postać tragiczną, czy też karykaturę. A co najdziwniejsza, zarówno jedni, jak i drudzy, wychodząc z założeń wprost sobie przeciwnych, pojmując tedy sztukę całą zupełnie odmiennie, chwalili ją jednogłośnie. Podobnie dwoistego wrażenia doznaje też czytelnik teraz wobec noweli młodego realisty niemieckiego. Sam temat arcydziwaczny. Jest to historya człowieka umysłowo chorego, oficera pruskiego, którego nowoczesne prądy mistyczne przyprawiły widocznie o obłęd chwilowy i zdaje mu się, że jest apostołem powołanym, by sprowadzić ludzkość na nowe koleje. Mówię: widocznie, bo zupełnie na pewne twierdzić tego nie mogę. Człowiek ten chwilami wydaje się waryatem, chwilami znów tylko oryginałem, a w końcu nie wiemy sami, czego się trzymać. I znów dziwnem jest to, że mimo tej niepewności, mimo zakłopotania czujemy wyraźnie w każdej chwili, że postać ta jest prawdziwą, że tchnie życiem. Jeśli więc częsty ten efekt dzieł Hauptmanna jest umyślny, mamy w młodym autorze przed sobą realistę-dziwaka, który prawdę życiową chce oddać w ten sposób, że stara się być tak niezrozumiałym, jak bywa często życie samo. Więc impresyonizm malarski przeniesiony na literaturę i rozwinięty do ostatnich konsekwencyj! Dziwny zaiste ten nasz czas, który takie w sztuce wydaje owoce!

Ego.

PRZEKŁADY POETYCKIE.

I.

A. de Lamartine. *Jocelyn*. Dziennik wiejskiego plebana, przełożył A. M-skl.

Jak gdyby po deszczu rosną u nas dziś tłomaczenia, i gdyby kto chciał uwzględniać wzmianką wszystkie bez wyboru, dogodziłby głównie spekulantom wydawcom, którzy zalewają księgarnie makulaturą. Zwietrzywszy, gdzie i jaki rodzaj cieszy się powodzeniem u tłumu niewybrednego, u kumoszek, u czułostkowego mieszczaństwa, albo u tych, co uważają piśmiennictwo za składy *à la* Herse lub Włodkowski, ciskają oni na półki masę tandetnych, nieudolnych przeróbek. Zrzadka tylko, między te lichoty wkradnie się praca z rzędu tych, których posiadamy tak mało, czyli godna tego, by zostać w skarbcu na dłużej. A jeszcze rzadziej znajdzie się między tłomaczami zwolennik poezyi w stylu szerszym, nie tej, która unosi się lekką pianką na falach najnowszej o nieustalonej cenie twórczości, ale tej, która osiadła już wyraźnemi kryształami i w takiej postaci przechowywana jest ze czcią dla wielkiej swej tradycyi.

Do owych niepopłatnych, bo akademickich, nie rozrywanych, bo amatorskich robót, należy i książka p. M-skiego. Proszę jeno pomyśleć: *Jocelyn* — to nie wiązanka sonetów, ani „pieśni,“ ani drobny jaki wylew liryki, lecz ogromnych rozmiarów poemat, liczący z górą trzysta stronic. Dziś już się takich dzieł nie tworzy. Serce dziś bije gwałtowniej i uderza szybciej, oddech stał się krótszym i poezya rymowana pragnie, by ją jak czarę wina, wychylano jednym tchem. Takie połączenie cierpliwości benedyktyna z polotem wieszcza możliwem było tylko w dobie tego świątobliwego zapału, wiary w siebie, wiary w życie, w nieznikomość sławy i nieprzelotność oklasku, któremi odznaczał się początek wieku.

Lamartine przytem należał do najbardziej ufnych. „Nie złorzeczcie życiu i człowiekowi — woła w jednej z przedmów do Jocelyna. Kto rozpacza o ludziach, nie zna Boga: bo w czasach światła na imię Mu — wiara; w czasach ciemności — nadzieja!“ Z podobnym talizmanem w duszy można było tworzyć poezye długie, szczere, natchnione i nawet niemi świat zachwycać.

Nie mówimy poezye wielkie, bo w zastosowaniu do Lamartine'a wyraz ten mógłby trącić kadzidłem. Toć chyba żaden z poetów nie wzniósł się swego czasu tak wysoko, jak on, żeby tak rychło popaść w coś bardzo zbliżonego do niepamięci. Popularność jego była olbrzymią; westchnienia kobiet, słane ku niemu, mogłyby zgasić słońce, z łez wylanych nad jego poezyami, utworzyłoby się morze, a jednak czyż nie czujemy wyraźnie, że to odwrócona karta? Lamartine jest z pewnością najnieszczęśliwszym po zgonie, jak najszczęśliwszym był za życia, w rozkwicie swej karyery pisarskiej. Przywykliśmy w wieku dziewiętnastym do natur stanowczych o konturach wyrazistych zarówno pod względem temperamentu, jak i poglądów na sprawy ludzkie i boskie. A właśnie Lamartine, który był i mężem stanu i poniekąd obrońcą kościoła, na tych polach swej działalności grzeszył brakiem właściwej geniuszom odwagi i skrajności, pragnął jednać, co nieprzejednane, wygładzać, co szorstkie i twarde, zaokrąglać, co kantowate. Bujał wysoko ale nie na skrzydłach orła, jakkolwiek w orlej grocie swego Jocelyna umieścił.

To wspomnienie o samym poecie niech tu wystarczy. Niedawno z powodu setnej rocznicy jego urodzin mówiło się o tym „medytującym“ uroczo śpiewaku dosyć dużo. Nie wszyscy jednogłośnie zaznaczyli to dziwne przeżycie się tak drogiego ojcom naszym pisarza, a tu i owdzie nawet usiłowano rozdmuchać nanowo tlejącą już tylko jego aureolę. Tkwiło w tem jednak grube nieporozumienie obok braku samoistnego poczucia piękna. Dano się otumanić specyalnie francuskiemu punktowi widzenia, który w rzeczach poezyi jest tak odrębnym, że my go możemy co najwyżej podziwiać, ale żadną miarą zrozumieć. Ich parnasowskie wymaganie czystego piękna, żądanie od poezyi, ażeby sprawiała jeno głuchą, przyjemną sensacyę nakształt muzyki i nigdy nie była przeduchowioną ideałami, ich wstręt wogóle do *ideału* — sprawiły, że potrafią czytać Lamartine'a, a o nim nie myśleć, że w rymach jego umieją nie czuć podkładu filozoficznego i politycznego, który razi i nawet gniewa swą utartością, wodnistą syntezą, darem przekonywania wszystkich ludzi tuzinkowych. Umieją oni oddzielać artystę-literata od człowieka, no, a wobec tego nic dziw, że Lamartine im smakuje, że tacy nawet wybrednisie, jak Bourget, delektują się nim niegorzej od swych dziadów z roku trzydziestego piątego. Jest to bowiem mistrz wiersza, jakich mało, i w dodatku ma dla swych rodaków urok reformatora, który pierwszy zaczął pisać szczerze, rzewnie, naturalnie, głęboko i pierwszy utorował drogę takiej poezyi, co mówi językiem nowym i nowych ludzi za serca chwyta.

W *Jocelynie* te rysy fizyognomii Lamartine'a widać dokładnie. Niektórzy sądzili, że miłosne katusze młodego mnicha roznsnute zostały tak szeroko nie dla samej sztuki, ale i dla tendencyi, że to „rozprawa przeciw bezżeństwu księży i napad na religię.“ Poeta zaś odpowiada swym tonem pośrodkowym, umiarkowanym: Jakiebądź byłyby w tym względzie przekonania autora, przekonania, niebędące nawet herezyą, ponieważ kościół rzymski uznaje małżeństwo księży katolickich na wschodzie, myśl uczynienia poematu dysputą rymowaną przeciw temu lub owemu punktowi ustawy kościelnej nie postała mi nawet w głowie.“

Czyż to nie charakterystyczne dla niego i dla francuzów? Takie samo wymijanie Scylly i Charybdy widzimy w tych urywkach *Jocelyna*, kiedy do bohatera, ukrytego w swej alpejskiej samotni dochodzą echa roku 1793. I umizga się on do żelaznego prawa postępu, które obraca w perzynę dawne twierdze pojęć — i wyklina aktorów krwawej tragedyi, ażeby po chwilowym wybuchu namiętności znaleźć wyjście z dylematu sprzecznych popędów w — Bogu i jemu powierzyć sąd. Wogóle imienia boskiego stanowczo nadużywa on, nie jest bowiem żarliwcem religijnym, ani panteistą szerokim, ale wiernym, którego wargi raz wprawione w ruch, automatycznie już potem szepczą pacierze.

Jocelyn i pod innymi jeszcze względami trąci myszką. Jest — za sielankowy i sentymentalny i przepełniony naciąganiami wątka. Sama ucieczka jego przed pogonią, potem uratowanie Laurencyusza, który po dłuższym czasie wspólnego z nim w grocie pożycia — okazał się... dziewczyną, te i mnóstwo tym podobnych momentów i różne obrazki idyliczne, przypominające wiek ubiegły, brzmią już tylko pustym dźwiękiem. Ale sam dramat uczuć człowieka, nękanego niedozwoloną miłością, samo trawienie się i szamotanie biednej duszy nie przestał być w wielu miejscach gorącem, silnem i zdolnem wzruszyć do głębi. Niemniej też szczere i subtelne jest poczucie pejzażu, którego liczne odmiany stanowią tło poematu. Przerzucamy je z rozkoszą, a nieraz i z uwielbieniem.

Cezary Jelenta.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Publiczność wiedeńska wobec wystawy. — Oddział francuski w rotundzie. — Kostiumy historyczne. — Pamiątki. — Przypadek. — Portrety.

Mówiąc o wystawie tutejszej, należy, jak przyznacie, uwzględniać przedewszystkiem to, co na niej zostało okazane. Nie trzymają się wprawdzie tej zasady wiedeńczycy sami, ani też goście. O wiele bardziej, niż martwą wystawą w rotundzie, zajmują się oni żyjącą, tj. teatrem międzynarodowym i zabawą huczącą w parku. Gdyby nie było tych akcesoryów, śmiało możnaby powiedzieć, że sama rotunda nader szczupłą potrafiłaby tylko zwabić publiczność. Twórcy wystawy zapomnieli bowiem, olśnieni oryginalnością swego projektu, o rzeczy nader prostej: że zbiór cennych pamiątek historycznych, starych instrumentów, nut i książek, autografów i portretów nie jest czemś, coby mogło zajmować zwykłą publiczność. Odpadają zatem przedewszystkiem ci, którzy szukają tylko nadzwyczajnego widowiska, więc przeszło trzy czwarte owej publiczności; bo cóż znajdą oni dla głodnych oczu między sztychami i portretami oraz śród szeregu szaf szklanych, zawierających stare skrzypce i kontrabasy? Pozostaje przeto drobna mniejszość, złożona ze znawców muzyki i literatury. Ale i tu znawstwo zwyczajne nie wystarczy. Trzeba być fachowcem, aby ocenić wartość starych rękopisów muzycznych i uchwycić wątek historyczny, łączący różnorodne okazy, zestawione tu obok siebie; trzeba znów być entuzyastą, aby zająć się pamiątkami, z których każda wymaga od widza osobnego nastroju umysłowego. Bo czem bez tego są dlań okulary Schuberta, kałamarz Chopina, łożko Donizettiego itd.?

A trudno znów na nastrój ten zdobyć się nawet najzagorzalszemu entuzyaście wśród tej ciżby najróżniejszych pamiątek, wywołujących w ciągu jednego kwadransa setki nazwisk i wspomnień, niczem między sobą niepołączonych. Jakże stanąć i zadumać się choćby na chwilę przed stolikiem Goethego, jeśli się widziało dopiero co fortepian Beethovena, biurko Dumasa, rękę Liszta, bucik Fanny Elsler i laskę Meyerbeera? Tak więc ów kult relikwij czcigodnych, piękny może w zasadzie, a w każdym razie naturalny, staje się niedorzecznością, jeśli się go przeprowadza *en gros*, po amerykańsku, jak to uczyniono właśnie w Wiedniu. Rezultat i na tym punkcie ten sam: widz wychodzi niezadowolony i znużony, dziwiąc się sobie samemu, że wszystkie te pamiątki sławne, po których spodziewał się tak silnego wrażenia, nie podziałały na niego inaczej, niż zwykłe stare graty, porozrzucane obok siebie bez ładu. Wszystko zaś to wytwarza niedobór kasowy komitetu wystawowego, rosnący z każdym dniem.

Jeśli jednak wystawa nie jest zajmującą dla widzów, może być nią dla — czytelników, przeglądających wygodnie w domu sprawozdania i opisy z pojedyńczych oddziałów rotundy. Dowiaduje się on z nich o różnych szczegółach ciekawych, zbiera bez natężenia owoc pracy rzeczoznawców, przedewszystkiem zaś może wybierać wśród ogromu informacyj te, które go zajmują, a odrzucić te, które są dlań obojętne. Nie należy tedy dziwić się, jeśli słyszymy w Wiedniu często, że fejletony dziennikarskie przedstawiają wystawę piękniejszą, niż jest ona w rzeczywistości. Nie upiększają one jej bynajmniej, ale wydobywają z niej poprostu to, co stanowi właściwą jej treść, a czego publiczność zwykła w rotundzie zobaczyć nie potrafi.

Opierając się na tem doświadczeniu, rozejrzyjmy się i my dokładniej. Ponieważ oddział polski znajduje się chwilowo w nieco chaotycznym stanie, opuszczając właśnie dotychczasowe swe miejsce i urządzając się na nowo i na większą skalę, przeto rozpocznę dziś wędrówkę od wystawy francuskiej, która należy do najświetniejszych i najbardziej zajmujących.

Francuzi rozgościli się w północnej części rotundy. Ściany oddziału swego udekorowali wspaniałymi gobelinami starożytnymi, przedstawiającymi wartość przeszło pół miliona franków; w środku postawili zgrabny pawilonik w stylu greckim, wykonany na wzór pawilonu w Trianon przez rzeźbiarza Creucheta i malarza Jambona. Na pierwszy rzut oka spotykamy się tedy z wytrawnym smakiem paryskim, unikającym starannie kolorów jaskrawych i efektów brutalnych. Pawilon ów zawiera modele, czyli t. zw. „maquettes“ dekoracyj opery paryskiej. Otaczają go dokoła biusty gipsowe, których pierwowzory znane są z *foyer* komedyi francuskiej: Molière, Racine, obaj Corneille, Lafontaine, Voltaire i Rousseau. Dodano im dla tej sposobności biusty Gounoda i Paillerona.

Wzdłuż ścian umieszczone są w sześciu oddziałach właściwe przedmioty wystawowe. Po stronie prawej od wstępu znajdujemy w kącie szafę, zawierającą kilkanaście lalek ukostiumowanych. Są to autentyczne próby starożytnych ubiorów teatralnych z ostatnich dwu stuleci. Widzimy tu rzymian w perukach i rzymianki w krynolinach, wspaniałe anachronizmy z czasów Ludwika XIV, a obok nich figury alegoryczne z dawnego teatru francuskiego: „Szczęście“ uosobione w postaci zgrabnej baletnicy i „Grę“ w postaci błazna. Jedna z figurek przedstawia Moliera w kostiumie, w którym występował on w swych „Kobietach uczonych.“ Ubiór ten sporządzony jest wiernie wedle dokładnego opisu w inwentarzu garderoby i mebli Moliera, znalezionym niedawno przez p. Souliera, teścia Sardou. Zajmującą jest też figura, przedstawiająca tragika Talmę. Widzimy w niej wielką reformę pod względem wierności historycznej kostiumów, która właśnie jest zasługą Talmy. On to po raz pierwszy odważył się wystąpić jako Brutus w todze rzymskiej, a widokiem swych obnażonych kolan obraził wówczas wstydliwość sławnej swej koleżanki Vestris tak dalece, że przed publicznością cisnęła mu w twarz słowo: „Cochon!“

Między instrumentami muzycznymi wpadają w oczy wchodzącemu tuż na wstępie wspaniały fortepian i harfa, pokryte całkiem pozłotą i malowidłami. Były one własnością królowej Maryi Antoniny i zginęły w r. 1787, kiedy tłum rozjuszony wpadł po raz pierwszy do zamku królewskiego w Wersalu. Obok tych pamiątek, wywołujących tak krwawe wspomnienia, stoi pianino małe i skromne. Właścicielami jego byli kolejno: Rousseau, Gluck i Grétry. Dalej nieco: fortepian Chopina, przy którym powstały w ciągu dwóch lat pobytu paryskiego preludya, marsz żałobny, nokturn G-moll i mazurek A-moll. Nie brak też innych relikwij najrozmaitszego rodzaju, jak np. biurko starszego Dumasa, o którem wspomniałem już powyżej, harfa i laska Rossiniego itd. itd. Czasem przypadek, najkapryśniejszy ze sprawców, postawił obok siebie dwa przedmioty jakby z umyślną ironią. Tak np. znajdujemy tuż przy śpiewniku królowej Maryi Antoniny, książeczkę, która należała do oblubienicy królewskiej Dubarry, a nieco dalej znów kartkę drukowaną z czasów Rewolucyi, zawierającą zaproszenie wystosowane do muzyka w następującej osnowie: „Section Challier. Comission des arts. — Citoyen, Tu es invité par tes frères de la commission des arts à te rendre Décadi prochain 30 du courant avec ton instrument à 10½ h. précises au temple de la section. Je t'engage à nous amener des musiciens de tes amis. Salut et fraternité.“ Czy nie brzmi to trochę jakby grzeczne zapewnienie, że artysta, jeśliby nie miał chęci zastosować się do zaproszenia, pójdzie dla poprawy — na gilotynę?

Zbiór autografów nie mniej obfity. Są tu rękopisy wszystkich sławnych francuzów począwszy od Voltaire'a aż do Meilhaca i od Grétryego aż do Masseneta. Obok tekstu i nut Marsylianki, pisanych własną ręką Rougeta de Lisle, widzimy partyturę oryginalną „Pięknej Heleny.“ Autor jej — nie myślę tu Jowisza, ale Offenbacha — znalazł miejsce swe między portretami, pokrywającymi ściany oddziału francuskiego poniżej gobelinów. Są one po największej części dziełami pierwszorzędnych malarzy i dlatego trzeba zatrzymać się przed niemi dłużej, niż w innych oddziałach. Niejeden z tych portretów można nazwać śmiało arcydziełem pod względem charakterystyki i wykonania, jak np. portret Dumasa młodszego, malowany przez Bonnata. Nie brak tu nawet i niespodzianek, a najciekawszą z nich jest obraz malarza Pilsa, przedstawiający Gounoda—przed stalugami z pendzlem w ręku. Pochodzi on z czasu, kiedy sławny muzyk nie myślał jeszcze o obecnym zawodzie i jako młody stypendysta rządu francuskiego oddawał się z zapałem malarstwu w willi medycejskiej w Rzymie.

Dość często jednak przed portretami tymi, zarówno jak przed autografami, trzeba zastanowić się nie tyle nad krotkością życia, ile nad znikomością sławy ludzkiej. Niejedno z nazwisk, których pamięć wywołać tu zamierzono, jest dla nas dziś zupełnie obcem. A przecie musiało ono być niegdyś słynnem, jeśli dawne czasy przekazały nam z uszanowaniem te pamiątki.

Kaliban.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻYCIE A LITERATURA.

I.

Nie trudno spotkać się z poglądem, iż starodawny ziemianin polski był ulepiony z jakiejś dziwnie niezwykłej gliny. W literaturze swojskiej posiadamy mnóstwo utworów, poświęconych opiewaniu cnót jego: uprzejmości, szczerości, prostoty, kiedy

> ...brama, na oścież otwarta, przechodniom ogłasza,
> Że gościnna i wszystkich w gościnę zaprasza.

Te pociągające rysy charakteru staroziemiańskiego wyjaśniane bywają „taką“ już naturą szlachecką. Rozumie się, tłomaczenie to nie ma najmniejszej wartości. Te same cechy spotykamy wdłuż i wszerz globu ziemskiego w pewnych epokach dziejowych, zarówno u bojara wielkoruskiego z w. XVII—XVIII, jak i u barona niemieckiego z w. XIV. Tkwią one nie w „takiej to już“ naturze, ale w ukształtowaniu każdorazowym bytu społecznego. Zaiste, przyjrzyjmy się stanowi majętnego ziemianina. Pewna liczba istot ludzkich, które jeszcze nie doszły do tego zaszczytu, ażeby zwano je „młodszą bracią,“ lecz słyną inaczej a dobitniej jako „nasienie chamskie“ lub wprost jako „ludzie,“ jest obowiązaną do daremnej pracy dla szlachcica w najrozmaitszej postaci: uprawy pól, budowania stodół, znoszenia danin. Kto posiadał kilka dziesiątków osad pańszczyźnianych, opływał we wszystkie środki spożywcze, wydobywane z ziemi rodzimo-krajowej. Chleba wszelkiego i jadła miał on pod dostatkiem, o to kłopotać się nie potrzebował. Raczej inna troska zaprzątała głowę ziemiańską, mianowicie, co czynić z nadmiarem przedmiotów do spożycia. Gospodarstwo ówczesne znajdowało się jeszcze w okresie naturalnym, tj. polegało na tem, iż wszystko, co wyprodukowano, spożywano na miejscu. Nie znano jeszcze wyrabiania na sprzedaż i w ogóle krajowi zbywało nawet na warunkach wszelkiej szerokiej wymiany. Gościńce zaledwie tu i owdzie przerzynały okolicę, a wszystkie środki komunikacyjne ograniczały się do dróg w rodzaju dzisiejszych wiejskich. Już samo to zamykało wymianę w ciasnych szrankach rynku kilkumilowego. Istniejące w pobliżu dworów drobne a nawet większe mieściny przesiąkłe były tym samym duchem gospodarstwa naturalnego: mieszczanie posiadali po kilka zagonów ziemi, trzymali pewną ilość sztuk bydła, wyrabiali masło itd. Wobec tego plony z pól dworskich, produkty, wytworzone we dworze, daniny, ściągnięte od włościan — wszystko to nie posiadało żadnej możności zamienienia się na pieniądze i musiało ulegć spożyciu w samym dworze. Co więc miał czynić ziemianin z tym dostatkiem bogactwa, z tą manną, spadającą mu do ust tylko dzięki temu, iż raczył być *bene natus et possessionatus*? Czynił, co mógł: sycił miody, wędził półgąski. Spiżarnia jego była pełną, podobnie jak piwnica. Atoli niepodobna było układać jedynie stosy różnych smakołyków, zwłaszcza, że niezawsze dawały się one przechowywać. Ktoby wtedy uprawiał zasadę ascetyzmu oszczędnościowego, tak gorliwie w stuleciu obecnem bronioną przez teoretyków kapitalizmu, marnotrawiłby dary przyrody w sposób najniedorzeczniejszy — byłby wprost waryatem. Jedyna podówczas istniała droga do wybrnięcia z tego kłopotu: spożycia mniej więcej natychmiastowego większości owoców pracy pańszczyźnianej. Szlachcic więc jadł dobrze, pił jeszcze lepiej i wreszcie na zakończenie tej ciężkiej powinności popuszczał pasa. Liczna służba hajduków, szczera gościnność, z bramą otwartą oścież w każdej chwili, wesela kilkutygo-

dniowe, długie kuliki karnawałowe i sejmikowanie, obławy z nagankami, — w taki to sposób dusza majętnego ziemianina, zwłaszcza w zapadłym kącie kraju, rozwiązywała postawione przed nią zadanie ekonomiczne: zrobienia czegoś z nadmiarem środków spożywczych, który powstawał w każdym majętnym dworze. Jednak z biegiem czasu położenie rzeczy ulega powolnej, ale w każdym razie wyraźnej zmianie. Wymiana wciska się coraz bardziej do dworów, które dzięki temu zyskują możliwość pozbycia się różnych produktów, a raczej zamienienia ich na ów błyszczący kawałek kruszcu, który daje się nieograniczenie zbierać i przechowywać. Fala wymienna przedewszystkiem zalewa pewne okolice kraju, w nich zaś większe majątki, umożliwiając teraz ziemianinowi inne zużycie środków spożywczych. Wielcy panowie mają pierwsi sposobność do otrząśnięcia się z pradziadowskich zwyczajów gościnności, a jeżeli je tu i owdzie jeszcze uprawiają, to tylko dla tego, że wiedzą, iż ludzi niewoli się także za pomocą „papki.“ Potrząsając obietnicą pieczeniarstwa, kupują oni głosy szlachty szaraczkowej, jak cezarowie plebejuszów jadłem i igrzyskami, wyzyskując na swoją korzyść posiadane przez nich prawa polityczne. Lecz gdziekolwiek pieniądz się wedrze, wszędzie jest on zwiastunem przewrotu ekonomicznego; to też wielcy panowie, którzy z nim pierwsi się zetknęli, będą przedstawiali idee „postępowe,“ drobna zaś i średnia szlachta — opozycyę zachowawczą. Otrzymywanie dukatów za pszenicę ułatwi magnatom zawiązanie stałych stosunków z daleką zagranicą, o czem niepodobna było ani marzyć podczas naturalnego okresu gospodarczego. Różnice kulturalne pomiędzy krajem, jeszcze mocno rządzącym się w swojem życiu ekonomicznem według zasad gospodarstwa naturalnego, a obczyzną, gdzie pieniądz stał się już nieodzownym smarowidłem życia codziennego, nie pozostają bez wpływów na zamożne ziemiaństwo, które, zasmakowawszy w uciechach narodów bardziej rozwiniętych, wzdycha ku nim, zamienia się na warstwę „nieobecną“ i w kraju spełniać zaczyna jedną tylko rolę: wysysania wszelkich soków z majątku, pchając ekonomów swoich do batożenia „leniwego i krnąbrnego bydła chamskiego,“ ażeby za pieniądze otrzymane oddychać powietrzem „wyższem,“ rozprawiać z filozofami o prawach człowieka i uroczym stanie pierwotnej wolności i równości, wreszcie tańczyć menueta ze szczebioczącemi i arcy-wydekoltowanemi damami na posadzkach Wersalu.

W tem ostatniem przeciwieństwie pomiędzy krainą naturalną a okolicami, gdzie wymiana na dobre się już rozsiadła, tkwi źródło „nieobecności“ naszej magnateryi; w tem zaś, iż społeczeństwo angielskie rozwijało się, przodując innym krajom pod tym względem, spoczywa charakter „obecny“ landlordów z ich oryginalnością i dumą narodową, ich umiejętnością godzenia spleenu z dbaniem o swoje folwarki, zarozumiałości rodowej z żyłką geszefciarską. Z tego to odłamu wielkoziemiańskiego, któremu zjawienie się pieniędzy umożliwiło wzięcie za wzór życia bocianów, przylatujących z wiosną na żer i opuszczających kraj za nadejściem jesieni, naturalnie o ile ich nie zwyrodniła obczyzna i nie zamieniła na papugi, wykrzywiające się po wersalsku, wychodzą nowe idee: postępowego gospodarstwa rolnego, oczynszowanie poddanych, reformy sądowej; stąd także wychodzi pierwsza opozycya przeciwko uważaniu popuszczania pasów za szczyt pracy społecznej — rzeczywiście organicznej — i zamieniania „źrenicy szlacheckiej“ (jak odzywano się o *liberum veto*) na narzędzie zarobkowania u samolubnych możnowładców. Tymczasem tłumy szlachty średniej, opartej jeszcze na porządkach gospodarstwa naturalnego, a zwłaszcza drobnej, żyjącej właśnie z frymarczenia swojemi prawami politycznemi, mając na czele swojem magnatów z ustronia ekonomicznego, takich, jak książę Panie Kochanku, szły zwartą ławą przeciwko farmazonom, trzymały się święcie monitora bockowskiego i innych dziadowskich tradycyj, przejmując jedynie śmieszne strony wpływów zagranicznych

Sam Podczaszyc...
...się nam zdawał małpą lub papugą,
W wielkiej peruce, którą do złotego runa
On lubił porównywać, a my do kołtuna.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie we wskazanem źródle kryje się przyczyna wielu walk partyjnych i starć umysłowych kraju naszego w wieku przeszłym — więcej przynajmniej, niż w tak często wysuwanym naprzód charakterze osobistym osób działających. Ale porzucamy tę sprawę, gdyż i tak już odbiegliśmy daleko od głównego wątku. Pośpieszamy zatem nawiązać nić przerwaną. Otóż w miarę rozwielmożniania się wymiany w kraju, sprzedaż produktów rolnych nabywa coraz większej rozległości. Gościnność przestaje być teraz koniecznością ekonomiczną, rozwiązaniem palącego pytania, co począć z nadmiarem środków spożywczych, a jest tylko cnotą, której ci i owi odmawiają miana roztropnej. Nie śledząc tu szczegółowo szeregu zmian duszy ziemiańskiej pod wpływem czynników ekonomicznych, przejdziemy odrazu do tej chwili dziejowej, kiedy uwłaszczenie zniosło bezpłatną mannę pańszczyźnianą, a pieniądz we dworze stał się równie niezbędnym, jak powietrze, zależność zaś od dalekich rynków wniosła niepewność dochodów i zmusiła do ulepszeń w technice rolnej. W takich okolicznościach wszystkie zalety i cnoty pradziadów stają się tylko grzechami ekonomicznymi. Przekleństwo ze strony dzieci, wzgardliwy uśmiech sąsiada, kazania prasy, nędza na starość — takie pociski sypią się na każdego, kto zanadto wiele odziedziczył w swojej duchowości po praojcach. W imię własnego spokoju, dobrobytu dzieci, szacunku opinii życie dzisiejsze niesie ziemianinowi zgoła inne zapowiedzie. Tłumienie swojej gościnności, liczenie się z każdym wydatkiem „nieprodukcyjnym,“ kłanianie się każdemu, kto nie jest chudopachołkiem finansowym — to są cnoty nowego porządku rzeczy. Dawna hardość i zawadyactwo, kiedy to było się zupełnym panem u siebie i gdy wszystkie potrzeby bywały zaspokojone w obrębie majątku, znikają z zapanowaniem wymiany, obawa zaś przed kaprysami dalekich rynków do reszty łamie dawną pewność siebie. Słowem, dusze ludzkie, pokutujące w ciele pana pańszczyźnianego i pracojemcy wiejskiego z okresu najmictwa, wyglądają zgoła inaczej. Są to w gruncie rzeczy odmienne typy, które, gdybyśmy je umieścili jednocześnie obok siebie, spoglądałyby wzajemnie po sobie jeden z jak największą pogardą, drugi z politowaniem. Warunki bytu kładą każdorazowo swoje znamię na człowieku, ćwiczą w nim jedynie pewne władze duszy i hodują pewne uczucia, strącając inne w otchłań milczenia. Pewien „filozof,“ któremu cała owa mądrość wyższego gatunku nie przeszkadza być najpospolitszym okazem trzody episyerskiej, obwieścił, iż rola dziejowa tej lub innej formy kołnierzyków z jednej strony a urządzeń ekonomicznych z drugiej jest jednaką, tak, iż żadnej z tych sprężyn ewolucyi historycznej nie oddałby pierwszeństwa. Nie będę spierał się z tak górnolotnem filozofowaniem i zapuszczał się w krainę, gdzie każda rzecz występuje jako mniejsza lub większa ilość materyi w takim lub innym ruchu. Trudno wtedy byłoby trafić do ładu, okazałoby się bowiem, że blaga i nie-blaga, podłość i szlachetność, zdrowie i choroba są jedynie pewnymi stanami materyi, jednako uprawnionymi wobec filozofującej nicości. Wolę już trzymać się gruntu społecznego — tak znanych nam stanów naszej duchowości! Otóż jeśli staniemy na tem tak realnem stanowisku, musimy się zgodzić, że kołnierzyki i warunki gospodarcze odgrywają w życiu społecznem nader rozmaitą rolę. Postacie ludzkie w szkle wklęsłem występują powykrzywiane najrozmaiciej. Podobnie zaś jak zwierciadło takie wykrzywia rysy fizyczne człowieka, to samo czyni rozwój społeczny z całymi łańcuchami idących po sobie pokoleń ludzkich — pod względem duchowym. A jeśli chcemy zrozumieć owe wykoszlawienia dziejowe duszy ludzkiej, nie potrzebujemy brać pod uwagę żadnych kołnierzyków lub dyplomów doktorskich, lecz jedynie zbadać, jak człowiek każdoczesny żył i w jaki sposób zapewniał sobie dobrobyt. Wtedy ujrzymy, iż namiętności ludzkie są czemś tak elastycznem, nawet sam skład duszy tak niejednakowym, że ani chwili nie zawahamy się z uznaniem tej prawdy, iż z biegiem czasu ptaszyny śpiewają nietylko inne piosenki, ale i inaczej czują.

(D. c. n.).

K. R. Ż.

KARTKI.

Bagatela. „Pocieszająca wiadomość rozeszła się po Wiedniu“ — głosi prasa tamtejsza. Oto profesorowie Benedikt i Mosetig, „pracując w cichości ducha nad zwalczeniem epilepsyi,“ wynaleźli „skuteczny przeciw niej środek.“ Zauważywszy, że napady jej rozpoczynają się zawsze od prawej ręki, wycięli w mózgu dziecka ośrodek kierujący ruchami tej ręki i — choroba ustała. Co za radosna nowina! Bo gdyby nawet sposób ten nie we wszystkich wypadkach okazał się pomocnym, można go udoskonalić i odciąć całą głowę, a wtedy niezawodnie epilepsya ustanie. Tymczasem niech każdy wybiera, co woli: albo tę chorobę, albo okrojony mózg. Mamy jednak nadzieję, że Pasteur i Charcot, którzy robią doświadczenia nad leczeniem epilepsyi zapomocą wstrzykiwań ochronnych, nie przerwą swej pracy po dowiedzeniu się o tryumfie Benedikta i Mosetiga, chociażby on nie okazał się konceptem reporterskim,

Drugi. Mówiąc o Ahlwardcie, słynnym dziś w Niemczech szerzycielu antisemityzmu i autorze broszury *Judenflinten*, w której oskarżył fabrykę Löwego o dostarczenie armii niemieckiej tandetnych karabinów, zwróciliśmy uwagę, jak silnie nałóg kłamstwa przylgnął do ludzi tego sztandaru. Są oni tak patentowanymi łgarzami, że gdyby zaczęli głosić teoryę obrotu ziemi, osłabiliby wiarę w jej ruch około słońca. Jest w tem po części metoda i świadomość, a po części jakaś dziwna choroba. Jednocześnie z Ahlwardtem dostał się na ławę oskarżonych za oszczerstwo sławniejszy od niego antisemita francuski, którego główniejsze „dzieła“ przełożono na język polski — Drumont. Oskarżył on w *Libre parole* publicystę i deputowanego Burdeau o zaprzedanie się żydom, a zwłaszcza Rotschildowi. Naturalnie ani jednego punktu ze swego paszkwilu nie dowiódł i skazany został przez przysięgłych na 3 miesiące więzienia, 1,000 fr. grzywny i ogłoszenie wyroku swoim kosztem w 80 dziennikach, co wyniesie około 80,000 fr. Jako świadkowie stawali w tej sprawie dyrektorowie Banku francuskiego, Rotschild i inni. Ponieważ jej bohater wprowadzony został do naszej literatury, więc warto poznać go bliżej z mów adwokata i prokuratora. Pierwszy z nich nazwał go zawodowym oszczercą, którego nawet własni jego świadkowie opuścili. Według drugiego, Drumont ze spotwarzania żydów zrobił sobie przemysł, a jego *France juive* jest „książką adresową oszczerstwa.“ Utrzymuje, że jest literatem, a rzeczywiście — literackim spekulantem. Wszystkich, których napada, mianuje żydami (jak ta metoda powtarza się pod każdym stopniem szerokości geograficznej!). Drumont, który sam nazwał się „szczekającym i ostrzegającym psem,“ przyznał, że „uniesiony potrzebą artystyczną (!), zbyt mocne niekiedy nakłada farby w swych artykułach,“ ale przysięgli nie

uwzględnili tego „artyzmu“ i wydali wyrok skazujący. Drugi więc już słynny bohater naszego czasu osiądzie w kozie. Może te doświadczenia nauczą kiedyś rycerzy antisemityzmu, że nietylko skuteczniej, ale także bezpieczniej zwalczać żydów prawdą, nie zaś kłamstwem.

PAMIĘTNIK.

Niespodzianka.

Hodowcy wełny i chmielu, przywożący swój produkt na jarmark warszawski, są tak przyzwyczajeni do samowoli kupców, którzy zwykle jak gdyby na urągowisko spacerują między nimi, nie zaczepiając o sprzedaż towaru, że „mocna tendencya“ tegorocznego rynku warszawskiego względem wełny była rzeczywistą niespodzianką dla producentów. Oni się spodziewali, że fabrykanci ze Zgierza, Łodzi, Wrocławia, Berlina będą im przesuwali przed oczyma otwarte pugilaresy z „talarami“ (na taką monetę obliczane są dotąd ceny wełny), które złośliwie cofną, gdy wełniarze po nie rękę wyciągną, a tu tymczasem kupowano, prawdziwie i chętnie kupowano, płacąc od 55 do 100 rs. za centnar zależnie od gatunku. Tego zwłaszcza po zeszłorocznem doświadczeniu wcale nie oczekiwano. Wprawdzie ceny nie podniosły się do tej miary, co lat dawnych, nie podskoczyły jak zboże podczas jesieni i zimy, ale zawsze utrzymały się na przyzwoitej wyżynie i może przekroczyłyby ją jeszcze, gdyby producenci, przestraszeni niepowodzeniem minionego roku, nie kwapili się ze sprzedażą. Jak gdyby umyślnie obstalowany przybył im w porę spadek kursu rubla, który wpłynął na „talary“ wełniane.

Wogóle ziemianin, zamykając teraz bilans roczny, widzi, że cokolwiek miał, wszystko sprzedał: zboże, kartofle, buraki, wełnę... Nie wszyscy mieli, nawet ci, którzy mieli, ale to już nie wina rynku, lecz tej wiecznej dziury, przez którą wślizga się do kieszeni szlacheckich ze swą zaliczką Moszek lub Icek. „Mądrzy po szkodzie“ zaszyliby teraz ową dziurę i nie wpuścili żydka przed czasem, ale czy rok obecny przyniesie równie wysokie ceny? Dotąd można tylko stukać w palce, zwłaszcza co do wełny, bo zboże nie obiecuje być taniem. *K.*

Liberum veto.

Krakowska Akademia umiejętności proszona, napastowana, budzona ze snu, poszturgiwana, wydała z siebie — jak wiadomo — głos w sprawie pisowni polskiej. To ziewnięcie szanownego ciała nie podobało się naszym najznakomitszym językoznawcom, którzy też ogłosili jego krytykę — spokojną, naukową. Zdawało się, że w tym fakcie objawił się dość naturalny bieg rzeczy, który na najciemniejszym skrawku ziemi nie dałby powodu do rozpaczliwego rozdzierania szat. Jedni powiedzieli: *Marya*, drudzy *Marja*, świadkom sporu wolno sobie wybrać *Maryę* lub *Marję* — i sprawa skończona. Tymczasem, kiedy już o niej prawie zapomniano, p. K. podrapał się — jak mówi Börne — w miejscu, które go przed pół rokiem zaswędziało i kropnął w *Ateneum* kazanie na temat naszego „nie pozwalam.“ O co temu szanownemu mężowi chodzi, czy o nasze warcholstwo w ogólności, czy też o ortograficzne w szczególności — zgadnąć trudno. Powiada on, że sprawa pisowni dała mu tylko „pochop do zagajenia (?) innej materyi: o ile „nie pozwalam“ mniejszości ma prawo do tamowania nie rozpraw teoretycznych, lecz środków praktycznych, mających zaradzić jakiejś naglącej potrzebie,“ ale ciągle przeżuwa i strawić nie może jakiegoś „gramatykarza.“ W teoryi — według p. K. — mogą ludzie do nieskończoności wodzić się za czuby i powtarzać: strzyżone — golone, ale w praktyce mniejszość powinna ustąpić większości.

Wątpimy bardzo, czy wyznawca tej teoryi, zawieszając ją nad naszym światkiem jako przykazanie, uczynił to z zupełnie jasną myślą. Bo naprzód co to jest większość i mniejszość? Są to ilości i stosunki głów dających się obliczyć. Można mówić o większości i miejszości w parlamentach, stowarzyszeniach, klubach, wreszcie wiecach, wogóle w zbiorowiskach ludzkich stale lub doraźnie uorganizowanych, ale nigdy w ruchomej i nieoznaczonej masie. Tam mniejszość musi ulegać większości zarówno wszędzie, jak u nas. Czy p. K. słyszał, ażeby w naszych towarzystwach kredytowych, bankowych, przemysłowych, artystycznych itd. inaczej się działo? „Może mniejszość — pisze on — mieć za sobą lepsze racye, a jednak pozostanie jej tylko zanieść swoją opinię do protokółu dla ocalenia honoru.“ Tak się też robi — więc o co gwałt? Dziś Siciński, którego p. K. bez potrzeby z grobu wskrzesza, mógłby, jak np. p. Maciejowski, do nieskończoności ogłaszać swoje *liberum veto*, nie ono nie pomogłoby i uchwał większości nie „zatamowało.“ Gdzież zatem tkwi warcholstwo? Niema rady musimy się zwrócić do nieszczęsnej ortografii i „gramatykarza.“ Przedewszystkiem skąd p. K. wie, że orzeczenie Akademii jest wyrazem większości, zwłaszcza że niektóre zalecone przez nią formy pisania u nas bardzo rzadko są używane? Czy urządził powszechne głosowanie? Powtóre, gdyby nawet tak było, cóż zrobili „niepozwalający“ (Karłowicz, Kryński, Baudouin)? Przedstawili swoje naukowe racye, dla których nie mogą zgodzić się na wyrok Akademii, czyli — jak on wymaga — „zanieśli swoją opinię do protokółu dla ocalenia honoru.“ Czy przez to „zatamowali środki praktyczne, mające zaradzić jakiejś naglącej potrzebie?“ Bynajmniej. Każdemu wolno używać ortografii, jaka mu się podoba. Więc czego od nich chce p. K., jeżeli cała jego filipika nie ma być strzałem w wodę? Poprostu coś go boli, a chce wmówić w czytelników, że i oni powinni jego dolegliwość odczuwać. Ponieważ zaś sam on nie zdaje sobie sprawy ze swego cierpienia, sprobujemy przeto postawić jego dyagnozę: nie ma ono swej przyczyny ani w naszem warcholstwie, ani w wybujałym indywidualizmie, ani w „duchu negacyi,“ w „prasie nieokiełznanej“ (!); ani w „przespołeczniaczach,“ ani w „gramatykarzach,“ ale w chronicznej, od wielu lat znanej hypokondryi szanownego kaznodziei. P. K. narzeka na „ducha negacyi,“ będąc sam typowem jego wcieleniem. Jeżeli kiedykolwiek głos zabiera, to tylko aby wydziwiać i gderać. Nic go nie zachwyca, nic mu się nie podoba — ani idealizm, ani materyalizm, ani pozytywizm, ani Darwin, ani Biblia, ani postęp, ani zachowawczość, ani ustrój kapitalistyczny, ani socyalny. Podobno ma on jakieś przekonanie, które uważa za prawdziwe, ale trzyma je w tajemnicy. Cała jego działalność publicystyczna jest zrzędzeniem: tu na coś się skrzywi, tam nosem pokręci, tam coś potrąci, lekko podważy, drapnie, przydepcze — oto jego metoda. Nałóg kazaniowy pobudza go ciągle do prawienia morałów — zdawkowych, zwyczajnych. Nie to jest zabawnem, że taki duch przekory istnieje, ale to, że chciałby „okiełznać prasę,“ zmusić do milczenia wszelką mniejszość... Ciekawa rzecz, coby on robił, gdyby tym jego życzeniem stało się zupełnie zadość? *O.*

Matejko.

Matejko zażądał od Rady miasta Krakowa, ażeby mu sprzedała część starego szpitala, przeznaczonego na zburzenie, którego mury chciał odrestaurować dla siebie na mieszkanie. Rada odmówiła mu ze względu na potrzebę otworzenia widoku dla nowego teatru, Matejko uczęstował ją za to listem publicznym pełnym obelg, zrzekłszy się przytem obywatelstwa honorowego i zapowiedziawszy, że nigdy w Krakowie nie wystawi swoich obrazów. Nie rozstrzygamy tego zatargu, gdyż nie znamy przedmiotu spornego dokładnie, ale zwrócimy uwagę na głos p. Prusa w tej sprawie. Oto co on pisze w *Kuryerze codz.*:

Matejko należał u nas do artystów, wobec których „krytyczne“ *fagasostwo* dosięgnęło — rzeczywiście — gigantycznych rozmiarów. Nazywaliśmy go „mistrzem nad mistrze,“ obcałowywaliśmy jego rękawy, jeżeli nie nogawice, dawaliśmy mu berła, zbieraliśmy jego pantofle do muzeów (?) itd.

Po za tą marną maskaradą kryła się *realna nieuczciwość*. Każdy bowiem obraz Matejki (a bywały między niemi i słabe), bez różnicy nazywaliśmy arcydziełem, mącąc głowy młodym malarzom, którzy mogli uwierzyć, że malarstwo obywa się np. bez perspektywy.

Bądź co bądź, ubóstwialiśmy Matejkę za życia, jak gnijący Rzym ubóstwiał swoich cezarów (!!). Postawiliśmy go tak wysoko nad ogółem, że gdyby przyszła Matejce fantazya zażądać od Krakowa Sukiennic, Kraków miał obowiązek oddać Sukiennice, temu „mistrzowi nad mistrze,“ obdarowanemu bodaj aż dwoma berłami na jednej honorowej kolacyi.

Trzeba przyznać, że fantazya Matejki była o wiele skromniejsza: zażądał od miasta tylko kupy gruzów i — tych mu odmówiono... Kraków swojemu „królowi“ odmówił resztek walącego się szpitala!

Co się tu zmieniło w ciągu kilku lat, które oddzielają nas od „aktu wręczenia berła?“... Wartość Matejki nie zmniejszyła się ani na jotę: jego obrazy zostały tem, czem były; jego stanowisko w malarstwie nietylko nie zniżyło się, ale zostało dotychczas niezajętem. Akurat jest taki wielki dziś, jak i przed laty.

Więc co?

Ha! zmieniła się moda, a dzisiejsi radni Krakowa wyżej stawiają kwestyę hygieny, czy bezpieczeństwa, aniżeli „wymagania sztuki.“

Pomijając to, że radnym wcale nie chodziło o „kwestyę hygieny, czy bezpieczeństwa,“ lecz właśnie o wymagania sztuki budowniczej, zaznaczamy „zmianę mody“ p. Prusa w sądzeniu innych, chociażby to byli geniusze. Czytelnicy *Prawdy* pamiętają jakie to samochwalcze gromy miotał on na krytyka, który ośmielił się nie uznawać w nim „mistrza nad mistrze“ i uważać niektóre jego utwory za „słabe.“ A do jakiego natężenia byłaby się wzniosła zgroza szanownego kronikarza, gdyby mu był ktoś powiedział, że on bodaj cząstkę swej sławy zawdzięcza „krytycznemu fagasostwu,“ „realnej nieuczciwości“ i „ubóstwieniom gnijącego Rzymu?“ *Kuryer codzienny* byłby się spalił w ogniu piorunów. A jednak Matejko, chociaż Matejko, zapewne nie zawoła o pomstę do niebios. *P.*

Domy schronień dla rzemieślników.

Niedawno, na posiedzeniu sekcyi rzemiosł poruszono sprawę „domów schronień“ dla rzemieślników. Z wnioskiem odpowiednim wystąpił p. Kłyczewski. Wychodzi on z następującego założenia, które oddamy dosłownie, zwłaszcza, iż maluje ono obraz doli rzemieślnika w starości. „Smutnym jest los rzemieślnika na starość, jeśli opatrzność nie pozwoliła mu zabezpieczyć sobie bytu, a smutnym tem bardziej, iż od samego zarania życia przeznaczonem mu jest pracować, pracować bez wytchnienia, i w dodatku owoce tej pracy nie zabezpieczą mu spokoju nawet wtenczas, gdy spracowany organizm domaga się spoczynku... Doktór, adwokat, inżenier, im starszy, tem więcej ma praktyki; urzędnik z biegiem lat awansuje, a następnie wysługuje emeryturę, która bez troski o jutro pozwala mu żyć. Rzemieślnik zaś im starszy, tem bardziej wychodzi z mody, i gdy w innych stanach lat 40 stanowi samą siłę i zdrowie, u rzemieślnika stanowi już brzemię, które go przygniata; nie może już dobrze wykończyć powierzonej sobie roboty, ani też zarobić na niezbędne potrzeby swoje i rodziny; więc też czeka go kij i torba lub miejsce w którym z przytułków.“

Dzisiaj zużyci starcy tułać się muszą z prośbą niemal o jałmużnę. Przedewszystkiem mnóstwo kłopotów ma z nimi tutejsze Towarzystwo Dobroczynności. Blizko połowa starców i kalek, znajdujących się pod opieką tej instytucyi, składa się z inwalidów pracy rzemieślniczej. Otóż temu położeniu winien zaradzić projektowany dom schronień, który powstanie, rozumie się, ze składek zebranych drogą prywatną, powiedzmy odrazu — filantropijną. Znając projekt, warto przyjrzeć się jego doniosłości. Kura, wygrzebawszy ziarnko, gdacze, jak gdyby skarb znalazła. Coś podobnego już dzisiaj dzieje się z uplanowanymi domami schronień. Naturalnie, powstanie takiego przytułku jest rzeczą pożyteczną, i ani chwili nie myślimy występować przeciwko niemu. Atoli warto wiedzieć, co on dać może. W najlepszym razie będzie to instytucya, oparta na stałych składkach gminu rzemieślniczego. Pozostawiona wysiłkom prywatnym, bez przymusu państwowego, obejmie tylko nieliczną grupę osób, a przytem najbardziej stronić od niej będą ci, którym najłatwiej złożyć składkę, z tej prostej przyczyny, iż składka owa dla zamożniejszych będzie ciężarem bez odpowiedniej wzajemności. Będzie to drobniuchny plasterek. Rozumie się, i plasterek bywa czasem lepszy, aniżeli nic, lecz przykładając go, wiedzmy o jego małej doniosłości i nie łudźmy się. *K.*

Import muzyczny.

Ziomkowie nasi w Wiedniu drą na sobie szaty z rozpaczy, iż wystawa się nie udała. Nie jest to wesołe — rzecz jasna, ale gdyby nawet teatralno-muzyczne zdolności mieszkańców kraju naszego uzyskały na turnieju międzynarodowym stopień najwyższy lub choćby tylko mierny — byłoby to niesprawiedliwem. Bo oto wyobraźmy sobie na chwilę, że zamiast produkcyj artystycznych można posyłać na wystawę pewne fakty i że ktoś w naszem imieniu zawiadamia jury o podbojach p. Bullerjana w Dolinie Szwajcarskiej — coby powiedziano? Zrobiono by przedewszystkiem wielkie oczy. Jakto — więc jest naród oświecony, którego pianiści, skrzypkowie, śpiewacy i śpiewaczki zbierają laury i krocie po starym i nowym świecie, a który musi się posługiwać orkiestrą obcą, niemiecką? A przecież sędziowie nie znaliby jeszcze całej sprawy. Nie wiedzą oni bowiem, że mamy pretensyę do miana muzykalnych wyjątkowo i z bożej łaski, że rujnujemy się w zimie na koncerty, że mamy co najmniej pół kopy dyrektorów i armię muzyków orkiestrowych.,. Dalipan, ilekroć zachodzę do Doliny Szwajcarskiej, ogarnia mię coś w rodzaju wstydliwej melancholii, albo melancholijnego wstydu. Widzę bowiem, że muzyka poważna może u nas liczyć na słuchaczów, że orkiestra karna może nawet parotysiączne tłumy zwabiać — jak to miewa miejsce w święta i na koncertach symfonicznych, a jednak nie znajdzie się śród swoich nikt o tyle przedsiębiorczy i energiczny, ażeby sprowadzanie cudzoziemców uczynić zbytecznem. Darujcie mi, szanowni panowie Noskowscy, Müncheimerzy, Hertzowie, Różalscy *e tutti quanti*, ale mimo całego dla was respektu, nie mogę się oprzeć żalowi, iż nie jestem rysownikiem-humorystą — na widok min waszych i postaci w chwili, gdy się przysłuchujecie młodym żaczkom p. Bullerjana. Czyście wy tak wielcy, że wam nie wypada zniżyć się do jego roli—nie sądzę; bo naprzód dyrygowanie np. chórami mieszanemi Towarzystwa świadczy o waszej skromności, a z drugiej strony kapelmistrz z Kasselu to także muzyk nielada, to fenomen pamięci, przytomności, rutyny, a jego drużyna wykonywa takie rzeczy, jak symfonia IX Beethovena, szkocka Mendelsohna, leśna Raffa, więcej niż poprawnie. *N.*

Kolej Terespolska.

Trzy komisye (pod przewodnictwem pp. Meiera, Wurzla i Popowa), trzema częściami przyjmują kolej Warszawsko-Terespolską na własność rządu. Zmiany osób w obsadzie stanowisk główniejszych już nastąpiły: obok zarządzającego drogą p. Izmaiłowa, naczelnikiem służby drogowej mianowany został p. Potiemkin, naczelnikiem rachuby — p. Trubeckij, naczelnikiem wydziału gospodarczego — p. Antonow, naczelnikiem warsztatów — p. Mejer, kasyerów zaś zastąpiono przez kaucyonowaną „artiel." W sprawie wykupu *Warszawskij Dniewnik* pisze:

„Według doniesienia *Birżewych Wiedomosti*, w Berlinie utworzył się komitet akcyonaryuszów dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej. Komitet ten rozesłał do wszystkich pism giełdowych oświadczenie, które podajemy tu w streszczeniu. Według warunków koncesyi, akcyonaryuszom było jakoby dane prawo zbudowania drogi żelaznej z Warszawy do rzeki Bugа w kierunku Brześcia pod warunkiem, że będą korzystali od kapitału na budowę, ustanowionego w stosunku 53,000 rs. od wiorsty, z 5% dochodu i umorzenia. Przy budowie dr. żel. akcyonaryusze potrafili jakoby poczynić oszczędności z kapitała budowlanego. Z oszczędności tych utworzono fundusz specyalny (zwany funduszem akcyonaryuszów), za który wzniesiono magazyny tranzytowe dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej i od którego pobierali w ciągu wielu lat ½% dywidendy dodatkowej. Jak wiadomo, rząd postanowił, że razem z odbiorem dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej na rzecz skarbu przejdzie na jego własność i ów fundusz specyalny z magazynami tranzytowymi. Akcyonaryusze berlińscy twierdzą, że skarb nie ma praw żadnych do tego funduszu i magazynów tranzytowych i dlatego „rozpoczęli rokowania o utworzenie komitetu specyalnego w celu obrony (?!) interesów akcyonaryuszów dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej."

Do tej wiadomości *Warszawskij Dniewnik* dodaje od siebie uwagę:

„Pozostawiając do czasu bez komentarzy to oświadczenie, zauważymy tylko, że jeśli budowa drogi kosztowała mniej, niż po 53,000 rs. za wiorstę, w takim razie akcyonaryusze powinni byli postarać się o zmniejszenie kapitału budowlanego, obecnie zaś fundusz specyalny i magazyny tranzytowe naturalnie powinny stać się własnością skarbu, gdyż fundusz ten i magazyny stanowią część kapitału na budowę, przechodzącego obecnie według warunków koncesyi na własność rządu."

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Wywóz zboża. Dnia 21-go b. m. telegrem *Agencyi północnej* zawiadomił, że ogłoszono Ukaz Najwyższy, uznający za pożyteczne utrzymać tylko do czasu zakaz wywozu żyta, mąki żytniej i otrąb wszelkiego rodzaju, i dozwalający na wywóz morzem i lądem po za granicę zachodnią innych gatunków zboża oraz produktów zbożowych. Z częściowego zniesienia zakazu nie spodziewają się zbyt wielkiego wpływu na zmianę cen zboża. Wskutek niedostatecznego urodzaju, a znacznego popytu miejscowego, ceny zboża na rynkach naszych, uwzględniwszy koszta przewozu i cło, niewiele są niższe od gdańskich i berlińskich, a więc wywóz zboża za granicę nie rokuje znaczniejszych korzyści, tembardziej, że żyto, stanowiące główny przedmiot naszego wywozu do Niemiec, jest jeszcze z tego wywozu wykluczone.

Taryfa od piwa. Wkrótce ma być wprowadzona nowa taryfa za przewóz piwa z Warszawy przez Kowel do Odessy, w wagonach specyalnych, a mianowicie ma być zniżona z 40,03 kop. prawie do 30 kop. od puda. Zważywszy, iż wiadro piwa w Odessie kosztuje obecnie 1 rs. 35 k., a piwo warszawskie po zniżeniu opłaty za przewóz będzie tam kosztowało 1 rs. 20 kilka kop., łatwo zrozumieć, że zacznie konkurować z miejscowem i wytworzy sobie niewątpliwie nowy punkt zbytu. Konkurencya ta sięgnie prawdopodobnie i dalej na wschód, dokąd obecnie dostarcza piwa Austrya, nie mając żadnego współzawodnika.

— Cło od węgla kamiennego, przywożonego do portów m. Czarnego i Azowskiego, ustanowiono na 4, a od koksu na 5 kop. w złocie od puda.

— W najnowszym numerze *Zbioru praw* ogłoszono przepisy polisowe Towarzystwa asekuracyjnego „Przezorność."

— Ceny herbaty niższych gatunków spadły w Chinach o 25%.

— Wszystkie gorzelnie, istniejące w państwie, wyprodukowały podczas ostatniej kampanii do dnia 13-go z. m. 24,716,330 wiader spirytusu bozwodnego, t. j. o 3,088,821 wiader mniej niż w r. z. Gorzelni czynnych było 1,974, tj. o 20 mniej niż w r. 1890/1.

— August hr. Potocki zakłada na Uralu fabrykę dobywania złota z pirytów systemem chemicznym wynalazku francuza, Monteila.

— W r. p. ma być otwarta w Irkucku wystawa prób towarów z prowincyi zachodnich Cesarstwa, oraz z Królestwa Polskiego.

— W ciągu r. z. zatwierdzono w państwie ruskiem 31 ustaw różnych towarzystw akcyjnych z ogólnym kapitałem zakładowym 24,300,000 rs.

— Podług wiadomości, zebranych przez ministeryum spraw wewnętrznych, zapasy zboża w śpichrzach ziemskich w całem państwie, razem z zapasami kukurydzy, wynoszą 85,000,000 pudów.

Z rynku.

Jarmark na wełnę tegoroczny udał się zupełnie i budzi nadzieję poważnej poprawy w handlu wełną w ciągu roku. Dowozy wyniosły wogóle 57,897 pud. 13 f., remanent z r. z. wynosił 5,000 pud., razem tedy było 62,897 p. 13 f., czyli mniej, niż r. 1891, o 4,637 pud. 1 f. Zmniejszenie dowozu (o 1,688 pud. 8 f.) przypisują szybkim zakupom bezpośrednim ze strony fabryk jeszcze przed jarmarkiem. Mycie po większej części było dobre; opakowanie bardzo dobre; wydajność cokolwiek większa. Sprzedano ogółem 46,300 pud., czyli około 14,300 centnarów 132-funtowych, a więc 74% ogólnej ilości wełny, na jarmarku się znajdującej, gdy w r. z. sprzedano tylko 45%. Poszukiwano głównie średnio-cienkiej I i II gatunku. Kupiono: 3,000 p. wysoko-cienkiej I gat., 1,500 pud. II gat.; średnio-cienkiej 17,700 p. I gat., 18,400 p. II gat.; ordynaryjnej 5,700 pudów. Cała pozostałość 16,600 pud. (26% ogólnej ilości) pozostała w ręku spekulantów, a więc w rzeczywistości za sprzedaną uważana być może. Ceny wahały się: za wysoko-cienką I gat. (w rublach za centnar) 99—104,50, II gat. 76,50—90; za średnio-cienką I gat. 61,30—76,50, II gat. 58,50—67,50; za ordynaryjną 49,50—58,50. Zwyżki wynosiły w zasadzie 2 do 5 talarów (1 rs. 80 kop. do 4 rs. 50 kop.) za centnar; wełny jednak wyborowego mycia i urządzenia, mianowicie średnio-cienkie I i II gat., osiągały do 10 tal. zwyżki. Tryków dostarczono na tegoroczny jarmark znaczną ilość, przeważnie *negretti*. Najwięcej dostarczył i największe ceny osiągał p. Ignacy Leszczyński z Łosiej Wólki.

Targi warszawskie. 22 czerwca. Na st. Praga Terespolska płacono calem wagonami za pud pszenicy stosownie do gatunku od 115—135 kop., za żyto 107—117, owies 76—97, jęczmień 68—93, grykę 110—115, kaszę jaglaną 122—140, kukurydzę 71—75. Usposobienie targu przy cenach mocnych było mało ożywione.

— W magazynach tranzytowych przy st. Praga Terespolska w dniu 21-m czerwca pozostawało 662 wag. zboża i innych produktów, w tem: 58 wag. żyta, 94 owsa, 9 mąki żytniej, 18 pszennej, 164 kaszy jaglanej, 5 gryczanej, 108 pszenicy, 50 jęczmienia, 12 grochu, 3 gryki, 22 fasoli, 15 mąki kartoflanej, 160 rodzynków, 4 kukurydzy.

— Na placu Witkowskiego jęczmień z dostawą do składu kupującego notowano od 400 do 480 kop. za korzec, za owies 285 do 350. Dowozy wyniosły 30 korcy jęczmienia i 150 owsa.

Łódź, 22 czerwca. Na targach zbożowych popyt dobry. Od dnia 17 b. m. sprzedano na stacyi towarowej

100 korcy żyta po 7 rs., 200 kor. pszenicy po 8 rs. 50 k., 2,000 kor. owsa po 3 rs. 20 kop. i 100 korcy grochu po 8 rs. 50 kop. Na Starym Rynku sprzedano dnia 21 czerwca 400 kor. pszenicy po 8,30—8,70. Siano po 100 — 110 za centnar, słoma 75 — 80, koniczyna 120—140.

Cukier. Ceny cukru i mączki zaczynają się podnosić z powodu nieszczególnych widoków na urodzaj buraków.

Ceny okowity dnia 22 czerwca. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100°—11,22, w. 78°—8,75; szynkowa w. 100°—11,37, w. 78°—8,87; bez potrącenia: hurtowa w. 100—11,00, w. 78°—8,58; szynkowa w. 100°—11,15, w. 78°—8,69¹.

KRONIKA.

Teatr. W Teatrze Rozmaitości przedstawiono nową komedyę Z. Przybylskiego p. t. *Protekcya dam.* Autor nie odznacza się ani głębokością myśli, ani artyzmem, ani oryginalnością pomysłów, lecz talentem bawicielskim. Ponieważ zaś w tym utworze zabawił szanowną publiczność gorzej, niż w poprzednich, więc wyszła ona z teatru z pewną do komedyopisarza pretensyą. Sztuka ta na szczegółowszy rozbiór nie zasługuje.

Sprawy społeczne. Według niedawno ogłoszonego sprawozdania lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności za r. 1891, deficyt zeszłoroczny dosięgnął niebywałej dotychczas cyfry 2,114 rs. 65 kop. i musiał być pokryty z kapitału zapasowego. Prócz innych przyczyn wyniknął on z podrożenia artykułów żywności. Kapitał zakładowy powiększył się wszakże dzięki następującym wpływom: 4,424 rs. 5 kop. z likwidacyi b. domu zleceń rolników nadwiślańskich, 1,000 rs. z zapisu Adama hr. Tarnowskiego, oraz 75 rs. z zapisu Franciszki Ostrowskiej; nadto Antoni Rulikowski przeznaczył procenta od 11,000 rs. zahypotekowanych na dobrach ziemskich, na utrzymanie kuchni bezpłatnej przy lubelskiem Towarzystwie Dobroczynności. Towarzystwo to utrzymuje dom schronienia starców i kalek, salę sierot, dwie ochrony dla dzieci, kassę dla rzemieślników i kuchnię bezpłatną, oraz rozporządza funduszem dla uczniów z zapisu Michała Chodorowskiego. W domu schronienia przebywało 51 starców i kalek, w sali sierot 20 dziewcząt, w ochronach 89 dzieci; z pożyczek w kasie korzystało 87 rzemieślników; w kuchni bezpłatnej wydano 19,000 obiadów; z funduszu Chodorowskiego zapłacono 25 wpisów półrocznych za uczniów gimnazyum lubelskiego, oraz dano na ubranie trzem uczniom po 25 rs.

— Wskutek przyłączenia do Warszawy przedmieść i wsi podmiejskich powiększono etat policyi o 25,147 rs., które będą obciążały budżet Warszawy.

— Dnia 17-go b. m. zapadł w Lublinie wyrok w głośnej sprawie bandy złodziejskiej. 27 obwinionych skazano na osiedlenie w Syberyi, 4 na roty aresztanckie, 5 na więzienie i jednego na karę pieniężną. Jedenastu z braku dowodów uwolniono.

— Na miejsce generał-majora Palicyna, pełniącym obowiązki prezesa teatrów rządowych w Warszawie został urzędnik do szczególnych poruczeń przy warszawskim General-Gubernatorze pułkownik A. Karandiejew.

Szkoły. W Radzie państwa ma być rozpoznawana kwestya przekształcenia szkoły rzemieślniczej w Łodzi, a mianowicie ma być jej nadany charakter specyalnego zakładu naukowego dla techników w dziale przędzalnictwa i tkactwa bawełnianego. Kurs byłby 7-letni. Szkoła ma być podzielona na oddziały: mechaniczny i chemiczny.

— Szkoła politechniczna lwowska ogłasza konkurs na dwie posady: profesora mechaniki i teoryi machin, oraz docenta encyklopedyi mechaniki i nauki o machinach.

— Na I kurs Instytutu rolniczo-leśnego w Nowej Aleksandryi może być przyjętych 60-u studentów.

Sprawy kolejowe. W Berlinie, według doniesienia *Birżewych Wiedomosti*, utworzył się komitet akcyonaryuszów dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej w celu obrony swoich interesów, a głównie dla zapobieżenia przejściu na rzecz skarbu t. zw. funduszu akcyonaryuszów, oraz magazynów tranzytowych.

— Pomiędzy Ciechocinkiem a Aleksandrowem otwarto przystanek Radolinek.

— Dnia 11 b. m. odbyło się doroczne zebranie ogólne akcyonaryuszów dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej, na którem odczytano sprawozdanie za r. 1891. Dochód kolei w r. z. wyniósł 11,321,875 rs. (czyli więcej niż w r. 1890 o 305,577 rs. Węgiel stanowił trzecią część ogółu ładunków, a mianowicie przewieziono go 99,640,607 pudów. Koszta eksploatacyi wyniosły 6,632,499 rs., czyli mniej niż w r. 1890 o 354,204 rs. Przewyżka dochodów nad wydatkami uczyniła 4,689,375 rs. Po odtrąceniu z tej sumy ciążących na Towarzystwie zobowiązań (renty rządowej, podatków, opłaty procentów, oraz kwoty na kapitał renowacyjny), pozostało czystego zysku 1,889,388 rs., z których 3% przeznaczono na kapitał zapasowy, 496,524 rs. na dywidendę od akcyj nieumorzonych, 126,738 rs. od akcyj pożytkowych, 20,800 na tantyemę dla dyrektorów, połowę reszty (556,792 rs.) dla rządu, z drugiej połowy dla akcyonaryuszów po 4 rs. 40 kop. dywidendy dodatkowej od każdej akcyi, umorzonej i nieumorzonej. Pozostały kapitał przelano do funduszu dywidendy na r. b., który, jak dotąd, mniej pomyślne rokuje rezultaty niż r. z.

Zdrowie publiczne. *Gazeta lekarska* z dnia 18-go b. m. donosi, że oprócz tyfusu plamistego, zdarzają się częste wypadki zimnicy. Niektóre formy są dosyć ciężkie. Podobnie jak co rok w miesiącach letnich, zdarzają się i obecnie wypadki *cholera nostras*.

— W Meszchedzie dnia 9-go b. m. zmarło na cholerę 400 osób.

Pożar. Dnia 6-go b. m. pożar zniszczył 63 domy. Straty wynoszą około 60,000 rs.

Zmarli. Teodor Meynert, znakomity psychiatra, w Wiedniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu W. Kr. w Sier. Alboż to raz! Publicysta ten odznacza się głównie sztuką wypowiadania wielkich głupstw z wielkim impetem.

Panu S. Mr. w W. Redaktor *Prawdy* po ciężkiej całorocznej pracy także ma prawo bodaj do częściowego odpoczynku w lecie, a Pan żąda, aby on przestudyował taką grubą i nieczytelną księgę rękopisów tylko dla odszukania w niej śladów wątpliwego talentu. Pan nie znasz tego mozołu — straszny!

I. M. Z. 1) Wykłady odbywają się w języku ruskim. 2) Portiusa *Przewodnik gry szachowej*, Warszawa 1891.

Panu H. O. w Piotrkowie. Sprawie tej poświęciliśmy już niejeden artykuł. Na przedstawienie zaś historycznego rozwoju jej ustaw w różnych krajach nie mamy miejsca. Może *Ateneum* lub *Biblioteka warszawska*.

Panom A. W i I. M. Poruszymy.

Pani A. Z. prenumeratorce. Znając dokładnie czyjeś uzdolnienia, trudno radzić; a cóż dopiero, nie znając ich wcale. Wzmianka o wieku i skończonej pensyi niczego nie uczy: można być w tym stanie młodą Orzeszkową, przyszłą dentystką, ogrodniczką lub panną na wydaniu. Nikt nie rozwiąże zagadnienia ze wszystkiemi niewiadomemi. Więc niech Pani sama rozważy dobrze, do czego czuje w sobie chęci i zdolności.

I. U. Ponieważ w tej dziedzinie nie można wchodzić na grunt praktyczny, co byłoby najbardziej pożądane, stąd wytwarza się ów brak. Wszakże umiejętnym i ciekawym artykułem teoretycznym chętnie otworzymy kolumny naszego pisma.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek kwartalny: Zasady fizyologii, ark. 7—12.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 12 Іюня 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.